

nadodrze

ZIELONA GÓRA
ROK XXXII NR 7 [664]

3 — 16 IV 1988 R.
CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Dwójka z wyobraźni Prawo SAMO ŻYCIE Yacov płaci SCENY miksne

Według ostatnich badań CBOS rzemieślnik — właściciel zakładu plasuje się w pierwszej dwudziestce zawodów cieszących się w opinii społecznej najwyższym prestiżem. Wyprzedził m.in. dyrektora i dziennikarza. Nie powinien więc dziwić napływ do rzemieślniczego grona, także na Ziemi Lubuskiej.

Coraz częściej przeczytać można w „Kurierze Polskim” ogłoszenie w rodzaju: „Szczupła brunetka (wysoka blondynka lub przystojna po dłuższym pobycie za granicą — autentycznie) pozna od powiedniego pana z wykształceniem wyższym lub rzemieślniczym”.

Inż. Roman Bilat wraz ze Zbigniewem Nowickim jako pierwsi rzemieślnicy w regionie uzyskali wpis swego zakładu do rejestru jednostek innowacyjno-wdrożeniowych oraz otrzymali znak jakości. Produkują elementy automatyki pieców gazowych, zarówno przemysłowych jak i stosowanych w domkach jednorodzinnych. Dawnie, aby otrzymać piec z łódzkiej „Fakory”, trzeba było zapłacić w „Pewexie” w odpowiedni czujnik. Dzisiaj wszystko można kupić za złotówki. Zatem antyimport, a jednocześnie duża szansa ocalałego eksportu.

Zaradni dobrze widziani

Edward J. Mincer

Kobiety mają tzw. nosa. Wysoko notowani na matrymonialnej giełdzie są wszyscy

ZARADNI, ENERGICZNI, PRZEDSIĘBIORCZY...

Inna sprawa, że wykształcenie rzemieślnicze oznacza coraz częściej własne wykształcenie wyższe, zwłaszcza techniczne. Wśród właścicieli warsztatów w Zielonogórskim i Gorzowskim jest już ponad 360 inżynierów, w tym spora grupa absolwentów WSI i b. pracowników naukowych. I tylko nieliczni podejmują działalność, która nie ma związku z ich przygotowaniem zawodowym. Ot, zaliczyć można do owych wyjątków inżyniera-krawca, producenta proszku do lodów, malującego na szkło, przetwórcę tworzyw sztucznych. Natomiast aż 217 świadczy specjalistyczne usługi budowlane, 41 — prowadzi warsztaty elektryczno-elektroniczne, 16 wytwarza materiały budowlane, 9 zajmuje się mechaniką pojazdową, 8 — budową maszyn i urządzeń.

Można postawić tezę, że większość inżynierów właśnie w rzemiośle realizuje najpełniej swe zawodowe ambicje. Sprawdzają w praktyce zasady dobrej organizacji pracy. W iście piorunującym tempie skracając drogę „od pomysłu do produktu”, produkują wyroby poszukiwane, częstokroć — na światowym poziomie. W najbardziej chyba optymalny sposób spłaca gospodarce narodowej ukochane studia. A że przy okazji otrzymuje za to godziwą zapłatę? O to przecież między innymi chodzi w II etapie reformy gospodarczej.

Inż. Andrzej Zawistowski ze Świebodzina skutecznie przełamał monopol amerykańskiej firmy „Hunterdon” na wytwarzanie transformatorów do bezstopniowej regulacji mocy. Dzięki temu „Elterma” ma niezbędnego kooperanta pod nosem, nie zaś — hen, za oceanem.

Inż. Andrzej Bieniaszewski produkuje w Sulechowie zaprojektowane przez siebie elementy pneumatyki przemysłowej (również antyimport).

Z mieszczącego się w Przylepie zakładu inż. Pawła Adamowskiego wychodzi codziennie 6 tys. barwionych, cementowych dachówek, co wystarcza mniej więcej na dwa domki.

Czy z owych absolwentów zielonogórskiej WSI mielibyśmy większy pożytek, gdyby grzali stolki w biurach projektowych albo pełnili w przemyśle funkcje mistrzów zmianowych?

Coraz częściej wyroby lubuskiego rzemieślnika zaskładają w pełni na miano nowatorskich.

Bolesław Onyszczyk z Miedzyrzecza ogłasza się w „Rzeczypospolitej”: „Za kład innowacyjno-wdrożeniowy oferuje rewelacyjne aparaty do skutecznego uzdatniania wody na licencji Instytutu

Z lek. med. Czesławem Wieliczko — dyrektorem Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Zielonej Górze rozmawia Halina Ańska

— W szpitalu coraz trudniej o salową, w przychodniach coraz większy tłok. Chorujemy, a tymczasem brakuje nie tylko lekarstw i strzykawek, ale też lekarzy. Ludzie martwią się, co to będzie?

— Po kolei. Salowa za osiem godzin pracy otrzymuje 13-15 tysięcy zł. Powinno jej dać 30 tysięcy, ale wówczas co najmniej trzy razy tyle musiałby płacić lekarzowi, a nie mogę, bo nie mam z czego! Sytuacja jest więc taka, że zostało nam parę wiernych weteranów, jak np. popularna Śnieżynka na oddziale pulmonologii, a nowych na ich miejsce nie widać. Kandydatka na salową, gdy dowiaduje się o wysokości zarobków, rezygnuje i idzie sprzątać, bo to mniej absorbujące i lepiej płatne.

— Więc jak sobie szpital radzi?

— Wiele czynności, które należą do salowych, wykonują pielęgniarki. Sprawa wymaga ostatecznych rozwiązań, bo za dodatkową pracę pielęgniarka powinna być dodatkowo wynagradzana.

— Przez pacjentów?

— Nie, skądże. Przez szpital. Właśnie o tym myślę. Powiedziała pani, że w przychodniach tłok. A czy pani wie, dlaczego?

— Żyje się nerwowo, na załatwianie czegośkolwiek traci czas i zdrowie, oddycha skażonym powietrzem, pije skażoną wodę, jada za ciężko, za tłusto i z salmonellą, stąd różne choroby, tak myślę.

— Ale jest jeszcze coś. W ramach działalności Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego, udzielonych zostało w 1987 roku łącznie 920 tysięcy porad lekarskich. Gdy podzielić to przez liczbę ludności, okaże się, że statystyczny mieszkaniec Zielonej Góry i najbliższych okolic, w ub. roku był u lekarza osiem razy. Gdyby doliczyć do tego wizyty u lekarzy zakładowych i w poliklinice, oka-

załoby się, że częstotliwość korzystania z porad lekarskich jest jeszcze większa. Dla porównania: statystyczny Szwed odwiedza lekarza cztery razy w roku.

— A statystyczny Polak?

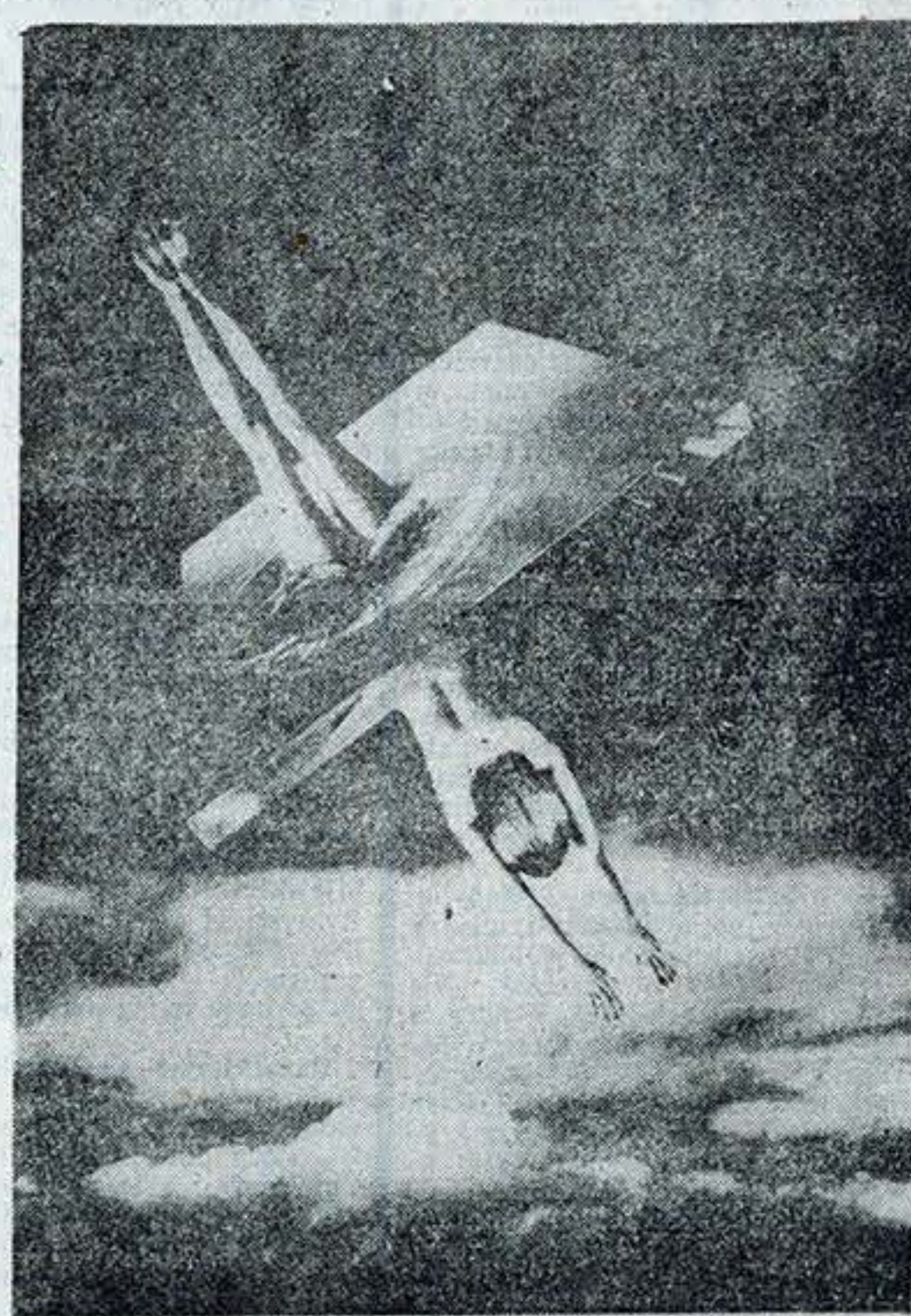
— Podobnie jak zielonogórzanin 8-9 razy. Lecz nie tylko dlatego, że choruje! Przy staraniach o dodatkową powierzchnię mieszkaniową, o zwolnienie syna ze służby wojskowej, o przyznanie renty czy innych świadczeń oraz przy dziełkach innych spraw wymagana jest pisemna wypowiedź lekarska. Część ludzi w poczekalniach oczekuje więc na komisję, orzeczenie, pieczęć, podpis. Chcę przez to powiedzieć, że lekarze są nadmiernie obciążeni załatwianiem spraw nie związanych z leczeniem. Ze czasu, który zgodnie z wykształceniem i zawodem powinni poświęcać na leczenie chorych, zmuszeni są użytkować na takie właśnie, urzędnicze czynności.

— Tymczasem ludzie chorzy skarżą się na niedostateczny kontakt z lekarzem. Brak rozmowy, skupienia, porady. Tych kilku minut, w których ma się lekarza wyłącznie dla siebie. Mówią to pacjenci przychodni, a także szpitala.

— W szpitalu kontakt z chorym zapewnia codzienny obchód lekarski, przy czym część pracy związana z leczeniem pacjentów przebiega poza nim. Na takim oddziale, jak np. chirurgia, gdzie o 7.00 lekarze już stają przy stołach operacyjnych i przez kilka godzin wykonują zabiegi, rozmów jest mniej. Za to na oddziałach, gdzie pośpiech jest nieco mniejszy, pacjenci na pewno się nie uskarżają.

— Przeczytałam gdzieś niedawno, że chirurgia powoli zaczyna się starzeć. Są wybitni specjaliści z dużym stażem, a potem jakby pustka. Ponoć młodzi nie kwapią się do noża.

Ryszard Horowitz „Na wylot” /czyt. str. 8/



Pokochać chorobę

— Mamy około trzydziestu specjalności, a stażystów rocznie dziesięciu — dwunastu. Lekarzy w ogóle brakuje w małych ośrodkach, niezależnie od specjalności. Absolwenci po dyplomie zachaczą się gdziekolwiek: na uczelni, w klinice akademickiej, w pogotowiu, byle tylko zostać w dużym mieście. Tymi, którzy po studiach powracają do nas na stałe, są najczęściej zielonogórzanie i Lubuszanie. Poza chirurgami, których mamy w szpitalu niecałą dziesiątkę, brakuje nam anestezjologów i onkologów, a w rejonach internistów, ginekologów i pediatrów.

— Czy młody człowiek rozpoczynający staż ma skrytalizowane zamiary, w jakim kierunku chciałby się specjalizować?

— Otóż nie. Stażyści przeważnie nie wiedzą, kim chcieliby być, co mnie trochę dziwi. Okres studiów jest dostatecznie długi, aby student uswiadomił sobie co go interesuje najbardziej i sprawdził swe predyspozycje. Znam wielu kolegów, którzy już rozpoczynając studia medyczne mieli wybraną dziedzinę i pozostali jej wierni.

— Wielka jest konkurencja dużego centrum, z klinikami i akademiami, w oparciu o które łatwiej można błysnąć talentem i zrobić tytuł naukowy. Ale czy jest to jedyna przyczyna, dla której lekarze po studiach nie pełnią się do mniejszych miast?

— Ja myślę, że są dwie bariery życiowe: finansowa i mieszkaniowa. Uposażenie lekarza wynosi średnio 18 tysięcy zł, z dodatkami może wzrosnąć do 28 tysięcy, z dyżurami w szpitalu i po gotowiu — do 40 tysięcy zł. Teoretycznie, bo w praktyce bywa różnie. Są to kwoty śmieszne, w porównaniu choćby z cennikami na usługi rzemieślnicze. We wszystkich placówkach razem, mam 56 stomatologów, co najmniej o dwudziestu za mało. Ale gdyby tych dwudziestu bardzo potrzebnych lekarzy-dentystów stało dziś przede mną i powiedział: „podejmujemy pracę od zaraz, pod warunkiem, że otrzymamy mieszkanie”, musiałbym z nich zrezygnować! Mieszkania puste nie czekają na nikogo, także na lekarzy, niestety. Skoro więc perspektywy zarobkowe i mieszkaniowe są takie same wszędzie, ale za wodę wydają się ciekawsze w ośrodku dużym, a życie tam atrakcyjniejsze, to czy należy się dziwić, że młody człowiek nie chce iść na prowincję?

— Wasz minister powiedział w telewizji, co sama słyszałam, że na każdego

Ciąg dalszy na str. 4

Ciąg dalszy na str. 4

Wtedy i dzisiaj

Dwa rocznicowe okresy przypadające ostatnio, skłaniają do rozważań i refleksji. W marcu wypadło — szeroko dyskutowane i omawiane zarówno w sferach naukowych, jak i w sferach masowego przekazu 50-lecie tzw. Anschlussu, tj. zbrojnej inkorporacji ówczesnej Austrii do hitlerowskiej III Rzeszy. Wojna zaczęła stukać do wrót Europy.

Po remilitaryzacji Nadrenii i otwartej interwencji militarnej w Hiszpanii Włoch i Niemiec na rzecz generała Franco, zagłosem zawieruchy wojennej rozpoczęła unosić się nad kontynentem europejskim, groźba ogólnoeuropejskiego pożaru. Istotnie, niebawem przyszło osławione Monachium a później już bezlitosne uderzenie na Polskę.

Jak inaczej wyglądał los obecnego pokolenia. Jest np. rzeczą oczywistą, że z ziemi niemieckiej, skąd zawsze przychodziło do naszego kraju zagrożenie, w całkowicie zmienionym światowym i europejskim układzie sił — nigdy już nie może wyjść wojna. Dotyczy to oczywiście również Republiki Federalnej Niemiec. Nie mówiąc już o uwarunkowaniach zewnętrznych, odmienne jest również całkowicie sytuacja wewnętrzna Niemiec Zachodnich. Chodzi nie tylko o konwencjonalne siły zbrojne — decyduje przecież broń nuklearna, a ta znajduje się w ponad 90 procentach w rękach dwóch wielkich mocarstw — ale również uwarunkowania psychologiczne i społeczne. Byłem przez pewien okres w RFN i mogłem to osobiście obserwować.

Inaczej było 55 lat temu — kiedy w kilka miesięcy po uchwyceniu władzy udało się Hitlerowi dokonać ostatecznego pogromu lewicy niemieckiej. Nie znaczy to, że w samej RFN, a także w niektórych innych krajach Europy Zachodniej, jak np. w Wielkiej Brytanii, a po części także we Francji i Włoszech nie rozlegała się głosy wyzywające do zbrodni, do tzw. kompensacji broni likwidowanych na mocy układu waszyngtońskiego. Uświadamiały one opór, na jaki napotykały nowe myślenie, ilustrując jeszcze silę starych schematów. Realizacja takich planów pogorszyłaby oczywiście polityczny klimat, podważając skutki osiągniętego w stolicy USA porozumienia. Mogłoby to być wręcz początek nowego wyścigu zbrojeń, zwłaszcza konwencjonalnych, absorbującego znaczne siły i środki. Tendencje te widoczne są w obu niedawnych dokumentach Rady NATO, oraz w braku spójności w przedstawianiu długofalowych zamierzeń politycznych. Dzieje się tak mimo, że oświadczenie i główna część Deklaracji NATO noszą tytuł „Droga ku przyszłości”.

Zaskoczeniem, nawet dla zachodnich obserwatorów, jest podejście do przyszłych rokowań na temat redukcji zbrojeń kontynentalnych, żądanie jednostronnych ustępstw ze strony państw Układu Warszawskiego. Państwa socjalistyczne nie mają innej wizji rozwoju sytuacji w tej dziedzinie. Jej istotą jest zapewnienie wzajemnego bezpieczeństwa na coraz niższym poziomie zbrojeń, stały postęp w rokowaniach, nadanie procesu rozbrojeniemu nieodwracalnego charakteru. Zasadnicze znaczenie ma tutaj stosunki między obu supermocarstwami. W dniach od 29 maja do 2 czerwca odbył się ma czwarte już spotkanie Gorbaczowa — Reagana. Jest zaiste rzeczą zadziwiającą, jakiego rozmachu nabrały sprawy, od których zależy losy ludzkości, w ciągu tak niedługiego czasu. Obecnie podpisany ma być w Moskwie, albo przynajmniej zatwierdzony w podstawowych zarysach układ o 50-procentowej redukcji potencjałów strategicznych dwóch wielkich mocarstw, przy umocnieniu ograniczeń dotyczących obrony przeciwrakietowej, opracowania konwencji o zakazie i likwidacji broni chemicznej, eliminacji prób z bronią nuklearną.

Mimo pewnych modyfikacji, prezydent Reagan nie odstępuje od swego planu tzn. Strategicznej Inicjatywy Obronnej (SDI), popularnie zwanej „wojnami gwiazdowymi”. ZSSR wyraził już nawet zgodę na amerykańskie próby laboratoryjne i badania naukowe dotyczące tego problemu, ale bezpośrednio rozmieszczenie w Kosmosie amerykańskiego arsenału nuklearnego jest oczywiście dla drugiej strony nie do przyjęcia. A więc i ta przeszkoła musi być usunięta.

Obrzmienie znaczenia nabiera przedyskutowanie konfliktów regionalnych istniejących wciąż w świecie. Trwa straszliwa, wyniszczająca wojna iraacko-irańska, gdzie rozpalają się dwa szalejące nacjonalizmy (jak niebezpieczne są to siły przekonał się nawet ZSSR w wyniku wydarzeń rozgrywających się na pograniczu Armenii i Azerbejdżanu), nie gładnie nadal konflikt bliskowschodni, Ameryka Środkowa jest ciągle wrzącym kotłem. Na ostateczne rozwiązanie oczekuje kwestia afgańska.

Nie zabraknie tematów przy stole rokowań w Moskwie.

MICHAŁ HOROWICZ

Z prasy radzieckiej

Walka z mafią w Turkmenii

Turkmeński korespondent PRAWDY M. Wolkow opisał w artykule zatytułowanym „Reakcja” bezlitosną walkę, jaką pracownicy resortu spraw wewnętrznych tej republiki wyprowadzili przeciw mafi. Oto fragmenty tej obszernej publikacji:

„Zostaw mnie w spokoju. Wyłącz się chociaż z gry. Pomimo tego, że jesteś pułkownikiem, to przecież tysięcy też by ci się przydało. Zapamiętaj sobie, że wiesz dobrze, gdzie twoja córka mieszka i gdzie się uczy. Sam rozumiesz, że nie mam wiele do stracenia. A z moimi wszystkimi ludźmi i tak sobie nie poradziłem...”. Słuchawka została odłożona. Aleksander Fedorowicz zrozumiał, że to nie są żarty. Nazwisko Sarkijewa Iljasa Abduragimowicza nikomu raczej nie było znane, natomiast na jego pseudonim jeszcze dzisiaj wielu reaguje w bardzo dziwny sposób. Jedni zamykają szelnie okna i drzwi, inni zmieniają szybko miejsce zamieszkania, słysząc pseudonim — „Wowczik Syra”. Przez długi czas wydawało się, że nie ma na niego żadnego sposobu. Jak mogło być inaczej, jeżeli przy kieliszku wódki poklepywał po plecach wielu stróżów porządku, a wielu ma wysokimi rangą pracownikami resortu spraw wewnętrznych był „na ty”. Tym razem „Wowczik Syra” przeliczył się.

— ★ —

Bohaterem tej historii jest Aleksander Fedorowicz Udałow. W 1960 roku ukończył średnią szkołę specjalną milicji w Kownie skierowany do wydziału przestępstw kryminalnych w Krasnodarskim Kraju, po dwóch latach został przydzielony do oddziału KPZR. Po następnych czterech latach otrzymał dyplom prawnika, a po ośmiu — stanowisko zastępcy szefa socjalistycznego Urzędu Spraw Wewnętrznych przy tamtejszym Miejskim Komitecie Wykonawczym. Awansował do stopnia pułkownika milicji. Cieszył się dobrą opinią, był nagradzany. Do momentu, kiedy zwolniono go z pracy w organach ścigania.

Uśmiewając się gorzko Aleksander Fedorowicz opowiada, że w Soczi milicja wpadła na trop silnie rozbudowanej mafii, która opanowała tamtejszy handel. Zamieszany w tę aferę były przewodniczący socjalistycznego Komitetu Wykonawczego, Woronkow, o którym w swoim czasie sporo pisała prasa centralna, był tylko pionkiem w tej wielkiej grze. Działali siły o wiele potężniejsze.

„Pękali” jedna po drugiej sprawy, przygotowywane przez pracowników wydziału przestępstw kryminalnych i dla nikogo nie było tajemnicą, kto chroń przestępstw przed pociąganiem ich do odpowiedzialności. Udałow zgromadził materiały obciążające sekretarza Komitetu Miejskiego partii A. Mierzięgo. Nitka prowadziła dalej — do Komitetu Krajowego partii, do przewodniczącego jednej z partyjnych komisji, G. Kornauhowa.

Reakcja była błyskawiczna. Odbyło się posiedzenie Biura Komitetu Miejskiego partii, na którym oficer śledczy Udałow został wykluczony z partii. Po jego odwołaniu się do Komitetu Krajowego zostały powołane komisje — jedna, druga, trzecia. Razem było ich dwanaście. Wszystkie racje tych komisji Udałow obalał, przedstawiając fakty. Zaczęto jednak wywierać na niego presję z różnych stron. Matka Udałowa musiała złożyć oświadczenie, że nie opuści miejsca stałego zamieszkania, postawiona pod zarzutem, że bezprawnie wzięła dziesięć rubli nadpłaty w ramach renty. Brat został zwolniony z pracy. Na zorganizowanie porwania córki Udałowa przestępcy zgromadzili 52 tys. rubli. Sam w porę zdążył ją uratować. Zdołano jednak postawić go w stan oskarżenia. Wkrótce znalazł się on pod strażą. Trudno uwierzyć, ale to fakt autentyczny. Przepędzony z partii, oczerniony, stał się nieoczekiwanie uosobieniem „wszelkiego zła w Soczi”. Kampanię tę rozpętał ci, którzy byli odpowiedzialni za korupcję, za łapownictwo. Sprawiedliwości musiała jednak stać się zadość. Wkrótce tam, gdzie było trudno oddać, powiało świeże powietrze. Partyjnych rekinów skazano na długie lata pozbawienia wolności Udałowa z powrotem przyjęto do partii i przywrócono mu stopień pułkownika. Został też mianowany szefem wydziału śledczego w turkmeńskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Aleksander Fedorowicz Udałow zabrał się ostro do pracy.

Na trzeci dzień po groźnej rozmowie telefonicznej plk. Udałow osobiście aresztował „Wowczikę Syra”. Była to niespo dzianka dla przestępcy, poszukiwanego już przez długi czas. Nie wierzył, iż tak szybko może paść w ręce milicji. Szukano go przecież po całym Związku Radzieckim. Miał swoich ludzi gotowych na wszystko. Dzięki nim funkcjonował.

Sprawa z Sarkijewem vel „Wowczikiem Syra” nie była prosta. Miał on dostęp do wszystkich labiryntów machiny biurokratycznej, która operowała na karierowiczostwie i korupcji. Sarkijew i jego grupa nie działali na oślep, nie grabili byle kogo. Dwanaście osób, które stoją obecnie przed sądem, dosłownie „doilo” ludzi, którzy stracili kilka tysięcy rubli po spotkaniu z prze

stępcami. Na skutek istniejących uwarunkowań i okoliczności nie spieszyli się z udzieleniem pomocy organom milicji. Jak się później okazało, bandyci wymusił na wysoko postawionych ludziach ogromne sumy pieniędzy, grożąc na przykład rozstrzelaniem. Jeden z poszko dowanych przysłał mu, że wypłacił przestępcom 25 tysięcy rubli, z żądanych 100 tysięcy, po czym wyjechał od niego miasta. W nowym miejscu też go od należono i ostrzeżono, by „spłacił dług”. W przeciwnym razie — groził — rozprawia się z jego bratem i z nim samym. „Dłużnik” — zwrócił się jednak o pomoc do milicji, a jego brat zaopatrzył w pistolet, za co też otrzymał karę.

Natomiast dyrektor jednego z aszchabadzkich magazynów handlowych w po plocu przed członkami mafii porzucił wszystko, wraz z żoną oraz dzieckiem zbiegł samolotem do Baku i dopiero tam powiadomił o swoim losie milicję. Zznał, że po zatargu z szefem gangu skradziono jego samochód marki żugli. Następnego dnia przestępcy spalili sa mochód w samym centrum miasta. Do otwartego okna w jego mieszkaniu strzelali z rakietnic i grozili uprowadzeniem syna. Na krótko przed pójściem ucieczką dyrektora z Aszchabadu, członkowie mafii wywieźli go za miasto, gdzie po pobiciu, związanego zakopali w ziemi. Koszar ten skończył się dopiero wtedy, gdy zeznał się poddać umowę, jakoby od jednego z nich kupił na kredyt pastekę o wartości 25 tysięcy rubli. Musiał zobowiązać się do zwrotu długu.

Działający przez lata rozzuchwalony boss mafii nie przywiązywał większego znaczenia do zmian kadrowych w turkmeńskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Zawrzuła w gniazda os, w których koncentrowało się to, co przez całe lata hamowało posuwanie się do przodu, co przeszkadzało żyć i pracować w twórczy sposób, swobodnie i bez strachu. To właśnie obecnie czas wysuwał do pierwszego szeregu ludzi niezwykłego honoru i odwagi. Wśród nich był Udałow.

Do grupy operacyjno-śledczej, która kierował wiceminister spraw wewnętrznych K. Taczmamiedow, dobrano ludzi „najpewniejszych i sprawdziłych”. Byli tam też internacjonalisti, którzy wrócili z Afganistanu. Jak wynikało z analizy przecieków informacji, grupa Sarkijewa miała bezpośredni dostęp do MSW Turkmenii. Długo czas wiadomości operacyjne przenikały do świata przestępczego. W związku z tym kierownictwo grupy specjalnej postanowiło utrzymać w całkowitej tajemnicy fakt działania grupy, jej zadania, efekty i plany działań. Ci, których operacja nie dotyczyła, pracowali normalnie. Natomiast informatorzy mafii bardzo się zaniepokoiłi. Wkrótce też aresztowany został sierżant straży więziennej. Wiele innych ujawniło się. Na tym jednak nie zakończyła się akcja.

W wypadku samochodowym w Aszchabadzie zginął znany w środowisku przestępczym recydywista Gadżijew. Na sty pę zjechali kryminaliści z wielu miast i miasteczek. Zebrało się ich około 400. Świadczyło to o atmosferze, jaka wytworzyła się w tym mieście w ciągu ostatnich lat.

Wiceminister Taczmamiedow i Udałow na własne ryzyko postanowili przeniknąć do grupy zgromadzonych pod pretekstem obrzędu religijnego przestępców. Akcje przygotowywano bardzo precyzyjnie. W stan gotowości postawiono średnią szkołę milicji. Wydano ścisłe polecenie zatrzymywania osób podejrzanych. Rozdano zdjęcia poszukiwanych. W dniu stypy zatrzymano 20 osób, z których część była poszukiwana przez resort spraw wewnętrznych. W obozie mafii zrobiło się gorąco. Podjęto próby nawiązania kontaktów z ludźmi z resortu spraw wewnętrznych, by zorientować się w sytuacji. Jednakże ludzie wiernych mafii już nie było w milicji, a ci, którzy jeszcze zostali w resorcie, nie orientowali się „co jest grane”. Sam szef mafii popełniał błędy szukając dotarcia do źródła informacji w milicji.

W tym czasie sieci były już zarzucone bardzo gęsto. W różnych zakątkach kraju aresztowano bandytów, nieraz tak nieoczekiwanie, że nie zdążyli nawet sięgnąć po broń. Siedząc dzisiaj na ławie oskarżonych chwytają się różnych sposobów, by ratować skórę. Nie cofają się przed groźbą zabójstwa, czy porwania członków rodzin pracowników organów ścigania. Późnym wieczorem do drzwi mieszkania jednego z członków grupy operacyjnej zapukał nieznajomy mężczyzna. Gospodarz był oczywiście uzbrojony. Jak się okazało, nieznajomy miał dokonać rozeznania na temat rodziny niewygodnego dla mafii pracownika milicji. Następnego dnia przed gmachem urzędu do spraw kryminalnych republiki „spacerowała” kobieta w czarnej woalce. Wiadomo było, że skoro w rodzinie Sarkijewa nosi się żalobę, to i żony pracowników milicji nie mogą

chodzić w kolorowych ubiorach. W tej sytuacji trzeba było odsyłać je i dzieci w inne rejony kraju. Mówi min. spraw wewnętrznych Turkmenii W. Grinin: „Sytuacja w republice jest skomplikowana. Jest to rezultat nawarstwienia się problemów z przeszłości. Biurokracja została tak rozdęta, że co szósty człowiek jest „baszykiem” (naczelnikiem). Papiery, wskaźniki na sprawozdaniach, przesłoniły całkowicie ludzi pracy. Nastąpiło zwyrodnienie kadr. Okazało się, że wielu wysokich rangą pracowników, a nawet tych niższych rangą, nie miało czasu i możliwości zajęcia się sprawami służbowymi. Zostali wciągnięci w różnego rodzaju machinacje. Byli wykwalifikowanymi organizatorami lub wykonawcami przestępczego procederu. Dziś wydano im bezlitosną walkę...”

Ludzie, którzy biorą udział w tej walce, odczuwają jej konsekwencje. Przeciwnym nowym pracownikom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych podejmowane są niebezpieczne działania. Pod nogami żony naczelnika jednego z wydziałów Ministerstwa rozbiła się butelka, która spadła z 12 piętra. Brakowało kilku cen-

tymetrów, by wydarzyła się tragedia. Córke dyrektora jednego z departamentów MSW ostrzegł nieznajomy mężczyzna, chwytając ją za gardło na ciemnej klatce schodowej, „żeby ojciec zwolnił obroty, bo jak nie to...”

Ludzie, którzy przeszli prawdziwą „chrzest” bojowy w walce z mafią, są kierowani na najtrudniejsze odcinki pracy resortu. Tak też się stało z Udałowem, który został naczelnikiem Czaradzkiego Obwodowego Komitetu Wykonawczego MSW. Tę niezwykle odpowiedzialną funkcję powierzono mu w mieście, gdzie mafia doprowadziła do zabójstwa instruktora Komitetu Obwodowego partii, o czym szeroko pisała prasa centralna.

Dotarła już informacja, że w Czaradzie ule trzymano grupę uzbrojonych bandytów, której przewodził człowiek o bogatej przeszłości kryminalnej. Grupa ta w okresie niecałego roku dokonała ośmiu napadów rabunkowych na sklepy, powodując straty na sumę około 100 tysięcy rubli. Jeszcze jedna banda przetrwała swój przestępczy proceder...

Taksometr w służbowej woldze

Z doniesień prasy radzieckiej wynika, że coraz powszechniej staje się montowanie taksometrów w samochodach służbowych. Przedsiębiorstwa, zakłady pracy i instytucje pragną w ten sposób zwiększyć wykorzystanie posiadanych pojazdów służbowych, a jednocześnie obniżyć koszty ich utrzymania. Jak pisał IZWIESTIE, w jednym z odeskich przedsiębiorstw liczni kli zamontowano we wszystkich służbowych samochodach osobowych, w wyniku czego dochód przedsiębiorstwa znacznie się zwiększył. Park samochodowy tego przedsiębiorstwa składa się głównie z autokarów. Są tam jednak też samochody służbowe i specjalne: cztery wolgi i osiem mikrobusek „RAF”. Te właśnie pojazdy przysparzały przedsiębiorstwu największe straty, gdyż większość czasu spędzały „na postoju”, lub też kursowały po mieście z niepełnym kompletem pasażerów. Postanowiono, że samochody te muszą zarabiać na siebie: kierowcom pozwolono na zabieranie pasażerów po drodze.

Sprawa nie była jednak tak prosta, jak się początkowo wydawało. W nowej sytuacji kierowcom odebrano premię i inne dodatki do wynagrodzenia. Pensje wypłacano im w zależności od zarobionych za kierownictwa rubli: sześć

dziesiąt procent dla kierowcy, a czterdzieści dla przedsiębiorstwa. W tym układzie powstały problemy, gdyż aby zarobić chociaż tyle, ile zarabiali wcześniej, musieli przejechać wiele kilometrów w charakterze taksówkarzy. Właściciel domu zaś, że są to samochody służbowe i kierowca musi być dyspozycyjny wobec przedsiębiorstwa. Nie wszystkich zadowoliło takie rozwiązanie.

Postanowiono więc, że kierowca będzie otrzymywał wynagrodzenie za przepracowane godziny według odpowiedniego taryfikatora plus dodatek za kategorię, oraz czterdzieści kopiejek od każdego zarobionego zgodnie z taksometrem rubla. O pozytywnych rezultatach takiego rozwiązania świadczy fakt, że tylko w lutym do kasy przedsiębiorstwa wpłynęło od służbowych „taksówkarzy” około półtora tysiąca rubli. Dyrekcja wyraża nadzieję, że w przyszłości dochody przedsiębiorstwa i kierowców służbowych samochodów ulegną jeszcze większej podwyżce. Takie wykorzystanie samochodów służbowych jest korzystne nie tylko dla ich właścicieli, czyli instytucji państwowych lub zakładów, ale także dla samych kierowców i pasażerów. Zwiększa to przecież szanse skorzystania z dodatkowych środków komunikacji, kiedy nie ma w pobliżu autentycznych „taksi”.

Plaga bimbrownictwa

Powołując się na informacje, ogłoszone przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSSR, tygodnik ARGUMENTY i FAKTY podał dane dotyczące walki z nielegalną produkcją alkoholu. Z jednej strony, świadczą one o większej aktywności organów ścigania, a z drugiej — o nasilającym się zjawisku bimbrownictwa.

I tak, w 1985 roku do odpowiedzialności administracyjnej za pędzenie bimbru pociągnięto 84 tys. obywateli. W 1986 roku już 150 tys. a w roku ubiegłym — 397 tys. W 1987 roku skonfiskowano 3,6 mln litrów zacieru i samogu oraz 167 tys. aparatów do jego wytwarzania.

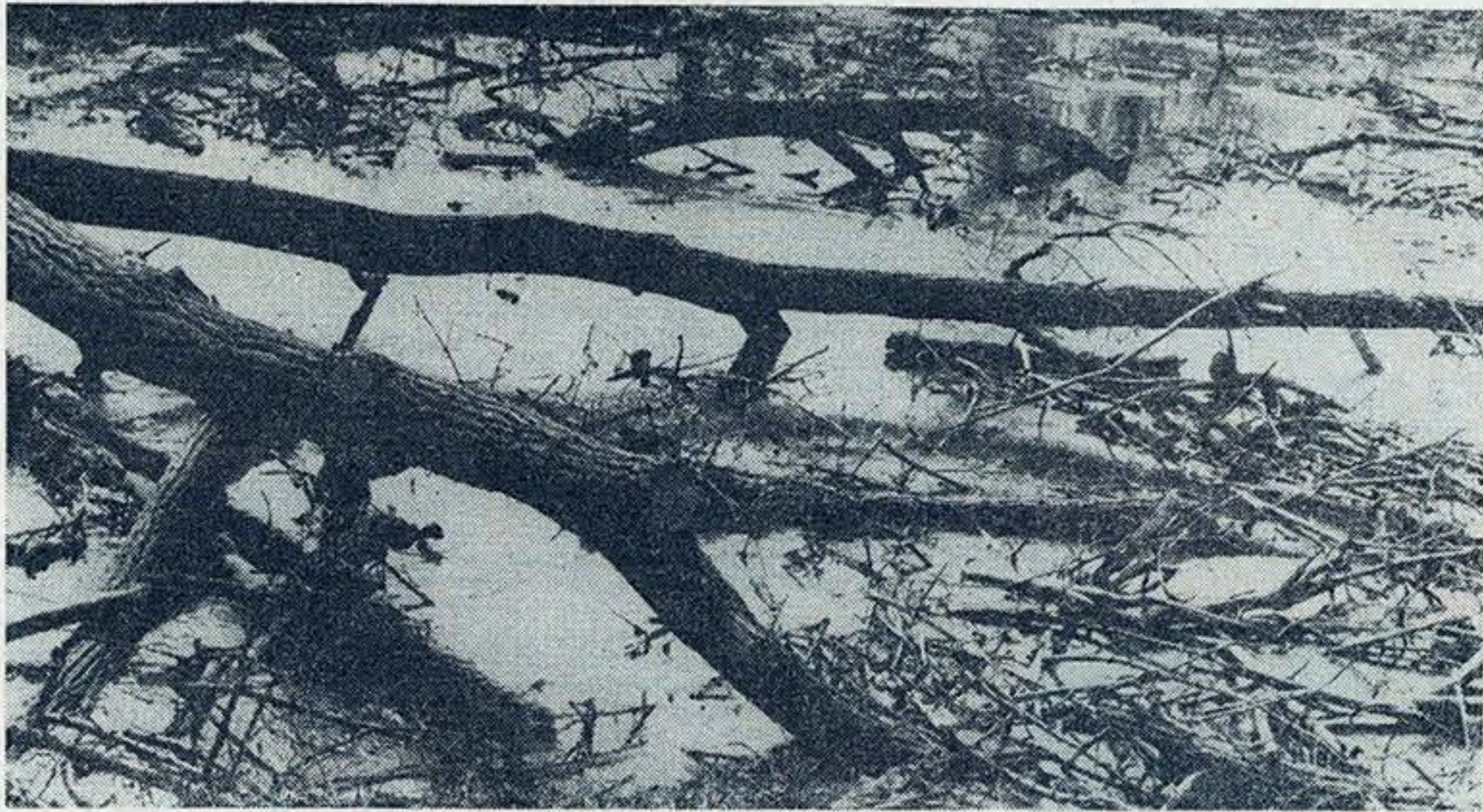
Niektórzy eksperci oceniają, iż w ub. r. wyprodukowano ok. 180 mln hektolit

rów bimbru, co oznaczało, że nielegalni producenci z nawiązką wyrównali skutki zmniejszenia produkcji alkoholu w zakładach państwowych. Ocena się różni, iż do wytwarzania takiej ilości sa mogono zużyć ponad 1,4 mln ton cukru.

ARGUMENTY i FAKTY informują także, iż w 1987 roku pociągnięto do odpowiedzialności karnej 11,7 tys. sprzedawców samogu. Za pijaństwo w miejsc pracy sporządzono protokoły przeciwko 330 tys. osobom. Tygodnik zwraca poza tym uwagę na utrzymujące się kradzieże szkolidowych dla zdrowia preparatów chemicznych i trucizn, w tym spirytusu metylowego. Używanie tych preparatów spowodowało w roku ubiegłym śmierć 11 tys. ludzi.



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

DWÓJA Z WYOBRAŹNI

Ryszard Rowiński

Kolowrotek powinien być w muzeum etnograficznym. Jest współczesnym narzędziem. Furkocze w kuchni. Soltysowa przestaje prażyć i powiada: — Oj, źle się teraz żyje. Sanepid zbadał wszystkie studnie we wsi i stwierdził, że woda nie nadaje się do picia. Ani dla ludzi. Ani dla zwierząt. W wodzie jest fenol, żelazo i jakieś inne paskudztwo. Cała wieś, 250 osób, czerpie wodę z dwóch studni, do których żelazo jeszcze nie dotarło. Bez wody żyć nie sposób. Rysujemy zdrowie, czerpiąc wodę z tych dwóch studni. Innego wyjścia jednak nie mamy.

Lutynka, wieś odległa od Wymiarek 4 kilometry, jeszcze kilka lat temu należała do wysokotowarowych. Tutejsi rolnicy cenieni byli za dostawę mleka, mięsa, ziemniaków, zbóż. Dziś rolników jest czterech. Oni również kupują mleko w sklepie, ziemniaki sprowadzają. Szukają sposobu na pozbycie się gospodarstw.

Gdy woda była jeszcze czysta, rolnicy z Lutynki hodowali 160 krów. Soltys Leśniak trzymał w oborze 14 sztuk. Dziś w Lutynce krów jest 18 a Leśniak z wielkim trudem utrzymuje jedną sztukę. Odłogów we wsi nie było. Każdy hektar ziemi miał użytkownika. Teraz 120 hektarów leży odłogiem. Nikt nie chce ich uprawiać. Część tej ziemi porośła już młodym lasem chociaż nikt drzew nie sadził. Lutynka, wieś niedawno rolnictwem stojąca, przestaje się liczyć jako producent żywności. Zjada więcej niż produkuje. Jest bankrutem.

— Panie Leśniak, dlaczego do wsi sprowadza się kartofle?
— Taki przymus. Nie ma innego wyjścia. Co to za życie bez ziemniaków?
— Kartofle tutaj nie rosną?
— Rosną. Przynajmniej kiedyś rosły. Było to wtedy, kiedy w lesie było zwierzynę tyle ile trzeba. Jednak Nadleśnictwo w Wymiarkach urządziło w swoich lasach tereny polowań dewizowych. Dzięki się rozmnożyły. Zjadają również nasze kartofle.

— Z powodu dzików nie ma kartofli. Są jednak dolary.
— Ja ich nie widziałem i pewnie nie zobaczę tych zielonych. Gdyby pan znał kupca na moje gospodarstwo, sprze dam wygodny, zdrowy dom, piękną oborę, stodołę. Z powodu odległości od studni wiele nie wezmę, rozstanę się z widokiem na stada dzikiej zwierzyny. Mam odpowiedni obiekt w województwie sieradzkim. Panie, na cholerę mi taka gospodarka? Do czego to wszystko podobne? Z czego my wszyscy będziemy żyli?

Lutynka skreśla się z mapy gospodarczej regionu. Jest już bankrutem z powodu nadmiaru dzików i braku wody. Nadmiar dzików — piff! paff! wiedeńskiego fryzjera — wynikał z chęci posiadania konta dewizowego. Woda w Lutynce, pita zawsze była. Dlaczego teraz jej nie ma? W tej okolicy jest pełno wyrobisk po kopalniach piasku szklarskiego. Jeden z takich dołów z bieżącą wodą, nieopodal Lutynki, zaczęto zasypywać śmieciami. Można było zasypywać inny dół ale przed 25 laty wybrano — czysty przypadek — akurat ten. Bo był wygodny dojazd z Wymiarek. Blisko było huty szkła, rzeźni.

W Hucie Szkła produkuje się opakowania szklane, zwłaszcza musztardówki. Pracuje się na okrągło. Bo słoiki są potrzebne.

— My nie zanieczyszczamy środowiska naturalnego. Od lat kilku mamy czystą technologię. Huta jest opalana gazem.

— Zanim doprowadzono gaz, czym opalało hutę?

— Jestem tu stosunkowo świeżym człowiekiem — odpowiada zastępca kierownika huty — o ile wiem, palono węgiel brunatny.

Węgiel brunatny po spalaniu pozostawia mnóstwo popiołów. W popiołach są

fenol, siarka, żelazo i inne pierwiastki ciężkie. Mniej więcej 25 lat temu pierwsze popioły wysypano do wyrobiska pokopalinowego nieopodal Lutynki. Sypano. Sypano. I nikt nad skutkami sypania nie myślał. Potem przestano sypać. Woda w studniach zyskała kolor brązowy. Policja sanitarna wydała zakaz picia, pojenia zwierząt. Chłopi przestali uprawiać ziemię. W wyniku katastrofy ekologicznej nastąpiła ekonomiczna zagłada Lutynki, gospodarnej, akurat tej jednej wsi w województwie zielonogórskim. Gdy Lutynka przestanie być przy musowia sypania dla ludzi zatrudnionych w Wymiarkach, Iłowie, Żarach, gdy spać będą mogli bliżej miejsc pracy, wieś zniknie z mapy. Wiele jest takich miejsc na pograniczu.

— Do Lutynki trzeba koniecznie doprowadzić wodociąg. — Tak powiada sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Wymiarkach.

— Dlaczego, skoro konieczność istnieje, tego się nie robi?

— Budżet gminy nie ma na to środków. Może za lat kilka będzie lepiej. Teraz, jedynym wyjściem byłaby budowa wodociągu w czynie społecznym. Czyn społeczny realizowany przez czterech rolników, bo na tylu można liczyć, też jest bezsensowny.

Ludzie ze wsi siedzą na walizkach. Lutynce bije dzwon.

Ekologia jest sztandarem modnym. Również w skali międzynarodowej. Stojący pod tym sztandarem — palcem, gromkimi głosami wskazują na gwałcieli środowiska naturalnego — górnictwo, hutnictwo, energetykę, przemysł. Powiadają niszczycielom — skoro zepsuliście, naprawcie! Naprawa zepsutej przyrody jest bardzo kosztowna. Spośród gwałcieli przyrody w Wymiarkach jest jeden — przemysł w postaci huty szkła. A i on nie bardzo przyznaje się do winy. Kiedyś truli. Teraz nie truje. Uważa, że popełnione grzechy można mu darować z powodu nieświadomości grzeszenia, i przedawnienia.

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Hutnik” w Wymiarkach, po wielu staraniach, w 1984 roku oddała do użytku dwa standardowe bloki mieszkalne, trzypiętrowe, składające się z pięćdziesięciu mieszkań. Są to bloki z wodociągami i kanalizacją. Wybudowano dwa osadniki typu gnilnego, czyli szamba. Osadniki zaprojektowane i zbudowane zgodnie z zasadami sztuki budowlanej, zlokalizowano bez rozpoznania hydrologicznego. Zanim lokatorzy bloków zaczęli pociągać za łańcuszki, odstojniki przynajmniej w połowie zapełniły się wodami podskórnymi. Łajno i deterenty, nawet rozrzedzone, przepływały tak nakazują — trzeba utylizować we właściwym miejscu. Takiego miejsca w gminie nie ma. Spółdzielnia „Hutnik” własnymi beczkowozami nie dysponuje. Obciążenie lokatorów kosztami opróżniania osadników wyniosłoby 12 tysięcy złotych miesięcznego dodatku do czynszu. Spółdzielnia „Hutnik” przestała sobie zwracać głowę opróżnianiem osadników, odprowadzając nieczystości do płynącego obok rowu. To zaś zainteresowało Urząd Ochrony Środowiska. Inspekcję Robotniczo-Chłopską. Inspektorzy obejrżeli ściek, szamba, dostrzegli nawet beczkowóz, który wywoził ścieki dwieście metrów dalej i spuścił je do tego samego rowu. Osadniki napełniły się wodą pod skórą, tyle tylko, że nieco bardziej czystą. Spółdzielnia „Hutnik” otrzymała polecenie wydane w imię ochrony przyrody, aby ścieki z osadników odprowadzać w sposób zalegalizowany, obwarowany zezwoleniami, technicznie prawidłowy. Nad projektem takiego ścieku pracują już inżynierowie z Zielonej Góry.

— Będziemy mogli odprowadzić ścieki w sposób legalny — cieszy się prezes Spółdzielni Mieszkaniowej „Hutnik” w Wymiarkach. Trucie wody odbędzie się w majestacie prawa.

Rów, do którego wpadać będą nieczystości z pięćdziesięciu mieszkań, łączy się z rzeczką Otwiernicą, która swoimi wodami zasila stawy hodowlane, będące własnością Zakładu Rybackiego Okręgu Lasów Państwowych. Pytanie — jak karpie z Borowego (to jest już inna gmina) zniosą legalne zasilanie łajnem i detergentami, póki co, ma charakter retoryczny. Ryby głosu nie mają.

Z inicjatywy Komitetu Gminnego PZPR, w grudniu ubiegłego roku, powołano w Wymiarkach Spółkę Wodno-Ściekową. Należy do niej Huta Szkła, Gmina, Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”, Spółdzielnia Mieszkaniowa „Hutnik” i Nadleśnictwo Państwowe. Powołanie spółki jest wykładnią intencji lokalnej władzy w dziedzinie ochrony przyrody. Koszty budowy oczyszczalni są duże. Budowa jest czasochłonna. Zanim oczyszczalnia powstanie, stawy hodowlane Borowe szlag może trafić. Jednak będzie to traf zgodny z prawem.

Staw hodowlany Borowe ma 80 hektarów powierzchni. Należy do największych i najbardziej produkcyjnych stawów należących do Zakładu Rybackiego Okręgu Lasów Państwowych w Żarach. W ubiegłym roku wylowiono z nich 33 tony karpia, za 16 milionów złotych. Jest to istotna pozycja w bilansie Zakładu Rybackiego. Jednak w Borowym od kilku lat zaczęło się dziać coś niedobrego. Są kłopoty z tarciem. Po ciężkiej ubiegłorocznej zimie, wyginęło prawie wszystko. Ocalało półtorej tony ryb. Badania wód wykazały, że są one mętne, pełne zawieszin. Analiza Instytutu Rybactwa i Ochrony Środowiska z Wrocławia wykazała, że woda w Borowym jest wysoce toksyczna, zawiera ponaddozpuszczalną zawartość metali ciężkich — cynku, ołowiu, miedzi, żelaza. Działanie tych metali na organizmy żywe spotęgowane jest zasadowym odczynem wody. — Prawdę mówiąc, ryby w takiej wodzie nie mają prawa żyć. — Tak powiedzieli naukowcy i zdziwili się: Jakim cudem one jednak żyją?

Oprócz Otwiernicy, staw hodowlany Borowe zasila wodą rzeczkę Pienia. Oka zało się, że nie mając żadnego zezwolenia wodno-ściekowego Lubuskie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej przesyła do Pieni wody pokopaliniane. Zostało to udowodnione ponad wszelką wątpliwość. Zakład Rybacki skierował sprawę na ręce Prokuratora Rejonowego w Żaganiu. Bądź co bądź w wyniku działalności trucielek poniosł wymierne, wielomilionowe straty.

— Dlaczego wpuszciliście do zatrutej wody tarlaki? — zapytał Prokurator. Pan Janusz Maksymowicz, kierownik Zakładu Rybackiego, stwierdził, że dobrze czuł, bo przewidując, obkładając się papierkami, analizami, protokołami oględzin, opiniami ekspertów. Uchroniło go to od bliźszych kontaktów z wymiarem sprawiedliwości i w charakterze oskarżonego.

— Nie wiedziałem, że wpuszczam tarlaki do zatrutej wody. Gdybym jednak to wiedział, też bym wpuszcł. Bo innej wody nie mam.

Ręce opadają z szalestem. Nie przesadzajmy. Lubuskie Przedsiębiorstwo Ceramiki Budowlanej w Gozdnicy otrzymało na piśmie zakaz odprowadzania wód produkcyjnych do rzeki Pieni. Jest to zakaz wydany po jednej, na razie, wyrzściej szkodzi. — Po ubiegłorocznej zimie rybacy wieźli samochodami rybą padłą aż pod Płock. Bliżej nikt jej nie chciał.

— Mamy dobre ustawodawstwo, fatalną egzekucję prawa, brak zdrowego rozsądku i wyobraźni. Tak powiedział sekretarz Komitetu Gminnego PZPR w Wymiarkach.

Czy dlatego ludzie nie lubią władzy?

Instytut Zachodni w Zielonej Górze

Z REGIONU

Instytut Zachodni z siedzibą w Poznaniu, jest jedyną polską instytucją naukowo-badawczą, systemowo i konsekwentnie zajmującą się, żywą dla Polski, szeroko pojętą problematyką nie miecką.

Posiada ogromne, trudne do przecenienia zasługi w naukowym rozpoznaniu ziem nadodrzańskich i nadbałtyckich przywróconych Polsce.

Nie ma w naszym kraju instytutu działającego w zakresie polityki i humanistyki, którego praca może być tak jednoznacznie pozytywnie oceniona, zwłaszcza, że sukces merytoryczny zawdzięczać należy, osobistemu, z patriotycznych pobudek wynikającemu, zainteresowaniu badawczemu uczonych, działaczy i publicystów z Pałacu Działyńskich.

Maksimum sukcesów naukowych Instytutu Zachodniego zostało osiągniętych przy minimum środków materialno-technicznych.

Rozwijanie nauki metodą hobbystyczną, jak w wieku dziewiętnastym, dziś, wobec coraz bardziej złożonego pola badań, przynieść może jedynie efekt przy czynkowy.

Jest zaszczytem być członkiem Instytutu Zachodniego a dla naukowca z Ziemi Zachodnich honorem uzasadnionym poziomem i rangą osobistego dorobku naukowego. Instytut Zachodni posiada także 22 swoich członków, mieszkających i pracujących w Zielonej Górze. Zebrali się oni w dniu 16 marca br. by, wykorzystując nowy status Instytutu Zachodniego, jednomyślnie po-

wołać do życia filię Instytutu Zachodniego w Zielonej Górze.

Fakt ten, wzbogacający pejzaż naukowy Zielonej Góry, jako pierwszy przypadek zakotwiczenia w naszym regionie placówki naukowo-badawczej o wielkich tradycjach, mieszczącej się w strukturach organizacyjnych Polskiej Akademii Nauk, zbliżonej do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, może mieć wielkie znaczenie dla społeczeństwa regionu. Czy filia Instytutu Zachodniego w Zielonej Górze, choć określenie „oddział” — byłoby moim zdaniem bardziej odpowiednie i zgodne z dobrymi tradycjami IZ będzie takie znaczenie miała, w dużym stopniu zależy od rangi wykonywanej pracy naukowej, w mniejszym stopniu od Kuratorium z Poznania, które, jak się zdaje, będzie miało trudności finansowe z zakupieniem szklidu dla placówki zielonogórskiej, natomiast w największym stopniu zależnie będzie od materialnego poparcia odpowiednimi środkami z budżetu województwa zielonogórskiego. Od Komitetu Wojewódzkiego PZPR, Wojewódzkiej Rady Narodowej, jako wyrażycieli szeroko pojętego interesu społeczeństwa zależy, co wyniknie z faktu „Instytut Zachodni — filia w Zielonej Górze”.

Lubuska droga do uniwersytetu, hasło sprzed lat, pojmwane również szerzej — jako droga do nauki, niosła wymierne wydatki. Nie były to jednak pieniądze wyrzucone w błoto. Dziś droga ta może mieć swoje przedłużenie.

(rr)

Wojciech Izaak Strugała

Wielkanoc. Spojrzenie IV

Do tej radości szedłem przez sześć tygodni Wielkiego Postu, obcując z wszechbytem.

— Przyznam się Tobie, Panie, że przez ten czas byłem porządnie najedzony: osmażone ryby okazały się mdłe a postna herbata — gorzka.

Do tej radości szedłem sam, z łałem nad sobą.

— Życie mi się nie udało — mówił troche sepieniąc. — Ale jak żyć miałem?

Zerwał nakrętkę, postawił butelkę na stole.

— Zaczekaj, nie odchodź. Muszę jeszcze porozmawiać, muszę się nad tym wszystkim raz jeszcze zastanowić.

Do tej radości szedłem z radością w sercu.

— Przyniosłem Tobie, Panie, upieczonego po polsku indyka, żebyś skosztował. To jedna z najlepszych kuchni świata...

W domu rodzinnym dzień Zmartwychwstania należał zawsze do nas samych. Po rezurekcji zasiadaliśmy do uroczystego śniadania, poprzedzonego dzieleniem się świeżym jajkiem.

Do tej radości szedłem pustą ulicą;

na peryferiach miasta stał samotny krzyż.

— Przyniosłem Tobie, Panie, dzban piwa.

Weź, proszę, to napój o kojącym smaku, podobny do cudu w Kanie Galilejskiej.

Do tej radości szedłem w lęku i zawstyżeniu.

— Przecież to moja wina...

Zbudziłem się za późno. Dlaczego wesół?...



Fot.: KRZYSZTOF MEŻYŃSKI

Ciąg dalszy ze str. 1

pracownika służby zdrowia przypada podwyżka w wysokości 14 tysięcy zł.

Nam przypadło średnio 12,5 tysiąca, łącznie z 6-tysięczną rekompensatą. Jedni otrzymali więcej, inni mniej.

Mówiliśmy o uposażeniu salowej i lekarza. A jakie ma ordynator?

Pobory około 30 tysięcy zł. do tego dodatek kierowniczy plus wysługa lat. Praca lekarza teraz, bardziej niż kiedykolwiek, przypomina działanie z powołania i dla idei.

Nasz redakcyjny grafik narysował kiedys dowiec, z którego wynikało, że pacjent przychodzi na operację z własnymi nóżkami. Nie jest to znów tak bardzo odległe od rzeczywistości. W szpitalu nie zawsze jest np. odpowiednio cienka igła czy plaster dla uczuleniowców. Nosze przy sobie receptę: polopiryna, witamina C, jakiś syrop. Niczego apteka nie miała.

Istnieje centralne zaopatrzenie lecznictwa. Około 200 milionów zł rocznie wydajemy na aparaty, karetki i urządzenia, około 70 milionów na leki dla szpitala i około ćwierć miliarda na leki dla aptek. Prawda jest, że obecnie, w dobie reformy, gospodarka lekami jest oszczędna, co uznać trzeba za słusze. Braki leków w aptekach powinny być, jak sądzę, zjawiskami przejściowymi. Są one jednak dość znaczne.

Niektórzy domagają się, by leki były płatne.

Te ratujące życie i leczące choroby społecznie powinny być bezpłatne. Ale za witaminy i środki wspomagańce powinniśmy płacić, dokonując przedtem wyboru: sałatka z zieloniny i uspa kająca ziółka, czy pastylka. Płatne też powinny być wata, plastyry, maści, tabletki przeciwbólowe itp.

Wtedy zmniejsza się domowe apłeczki, pełne przedawnionych specyfików. A jakie jest Pańskie zdanie na temat odpłatności za porady lekarskie w przychodniach i leczenie szpitalne?

Statystyczny pacjent przeżywa w naszym szpitalu 12,3 doby, a koszt jego pobytu wraz z leczeniem, wynosi średnio 260 tysięcy zł. Przez dzisiejszych zarobków mało kto mógłby taka sumę zapłacić. Jestem więc za leczeniem w szpitalu nieodpłatnym. Także leczenie chorób zawodowych i społecznych w poradniach powinno być bezpłatne. Natomiast za większość usług lekarskich, sprawozdań, badań, orzeczeń, zaświadczeń, wypełniania druczków i stawiania pieczęci, interesant — bo nie zawsze pacjent, gdyż w tych sprawach przychodzi także ludźmi zdrowi, powinni płacić. Wstaje babcia rano i myśli, dokąd by dziś pójść: do okulisty, internisty, a może do reumatologa? Reformy w końcu zmusi do postawienia sprawy ostro. Jeżeli pacjent wybierze się do specjalisty bez skierowania, z pominięciem lekarza rejonowego bądź zakaładowego, będzie musiał za wizytę zapłacić.

Na co choruje statystyczny pacjent Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego w Zielonej Górze?

Dokładna statystyka dotyczy tylko gruźlicy, chorób wenerycznych i nowo-

tworów. W pozostałych chorobach, notujemy tylko przypadki zachorowań. Generalnie Lubuszanin nie odchodzi od polskiej normy i najczęściej cierpi na choroby układu krążenia. Niepokońc moją częstą zgony mężczyzn w wieku 35 — 50 lat, spowodowane nadciśnieniem, a także wzrostem liczby urazów, z którymi przywożeni są pacjenci po wypadkach na drodze i przy pracy.

Pomówimy jeszcze o statystycznym pacjencie. O tym, jak jest badany, diagnozowany i leczony.

Mamy trzy ultrasonografy: na kardiologii, radiologii i urologii. Zaczynamy od nich, ponieważ badanie ultrasonograficzne jest ostatnio modne. Pacjenci są przekonani, że ultrasonograf rozpozna-

Skutecznie wyprowadzani są z ciężkich stanów pacjenci z chorobami układu oddechowego. Są efekty w leczeniu przypadków kardiologicznych, gastrologicznych i innych. Opanowana została choroba tarczycy: wystarczy rozejrzeć się po ulicach, by stwierdzić, że zniknęły spotykane często przed laty, grube szyje. Dział sztuczna nerka i dzięki niej dializuje się kilkunastu pacjentów, a są tacy, którzy na dializie żyją po kilka lat. Nie będę nikogo wymieniać, wyróżniać i chwalić, powiem tylko, że ten szpital leczy dobrze. Ratuje życie, poprawia zdrowie. Spośród 22 tysięcy pacjentów, którzy przewijają się rocznie przez wszystkie oddziały, blisko połowa zostaje całkowicie wyleczona.

rodziny niesłusznie. Są tacy, którzy nie chcą oddać ze szpitala swych dziadków, ojców i babć. Zdarzył się raz ciężki w skutkach błąd w podaniu leku dziecku. Komuś się zrosła się ręka pod gipssem. Bywały też pretensje dziwne. Gdy po otwarciu jamy brzusznej stwierdza się u pacjenta nowotwór, rodzina uznaje czasem, że operacja była niepotrzebna, bo gdyby nie ona, pacjent żyłby dalej szczęśliwie, nie nie wiedząc. Mam odczucie, że pacjenci chorzy poważnie i przewlekłe, rzadko miałyby pretensje i w ich ocenie służba zdrowia pracuje dobrze. Nie podoba się coś z reguły tym, którzy ze szpitala i leczenia mają kontakt jednorazowy. Zawsze powtarzam, że choroba trzeba pokochać. Nauczyć się z nią żyć i godzić się z nią. Tak się ustawić, o ile to możliwe, by nie dezorganizowała całego życia. Do takich uzodowych chorób należą cukrzyca, choroba wieńcowa, nadciśnienie i parę innych.

Bardzo to ładnie Pan powiedział. Ja jednak wolabym kochać zdrowie. Jeszcze jedno pytanie: ile ludzi pracuje w obrębie kierowanej przez Pana, na zwijmy to — firmy?

Cała załoga liczy 3.700 osób, w tym 250 lekarzy. Pięć i pół procent, czyli bardzo mało stanowi administracja. Wszyscy ci ludzie pracują: w szpitalu posiadającym 1064 miejsca dla pacjentów, w sześciu przychodniach ogólnych i sześciu specjalistycznych, w sześciu zlokalizowanych w dwóch domach rencistów.

Czy nie jest to największy zakład pracy w mieście? Ale powróćmy jeszcze do leków. Pan mówił o oszczędności gospodarce. Ja o braku polopiryny. W tej sytuacji pomocą są dary z zagranicy. Skąd i od kogo?

Z Danii, Holandii i RFN. Zbierają je tam i dostarczają do Zielonej Góry towaryści, przeważnie o profilu religijnym. Część tych leków trafia do szpitala, część do dostawcy dla wszystkich aptek przy ul. Jedności Robotniczej. Jest to istotnie cenna pomoc, ale też i kłopot. Wielu spośród tych leków nie ma w urzędowym spisie. Część nie posiada atestu na kraj. Ordynatorzy przyjmując te nieznane specyfiki na oddział, biorą na siebie dodatkową odpowiedzialność. Lekarz powinien przećwiczyć leki ordynować, a nie wydawać. Przyjechał pewien pan z zagranicy i mówił, z miną, jakby dawał milion dolarów: „przywiozłem wam 10 tysięcy strzykawek”. Podziękowałem, ale nie powiedziałem mu, że te strzykawki wystarczą nam na dwa dni, ponieważ szpital zużywa około pięciu tysięcy strzykawek dziennie. Ubóstwo zmusza nas do przyjmowania darów, jest to żenujące, ale co robić?

Przez okno Pańskiego gabinetu widać nowy blok operacyjny.

Wraz z jego uruchomieniem, co na stały w niedługim czasie, możliwe będzie wykonywanie równocześnie siedmiu zabiegów. Niebawem poszerzy się oddział chirurgiczny o pomieszczenia po neurologii, która z kolei sprowadzi się na parter, w miejsce dawnego oddziału

internistycznego. Chcę jeszcze powiedzieć coś, o czym wszyscy wiedzą: że przy Narodowym Funduszu Ochrony Zdrowia działa komitet społeczny, który gromadzi środki na budowę szpitala specjalistycznego na około 700 łóżek.

Melodia przyszłości każe laskawiej patrzeć na to, co zostało zbudowane w przeszłości. Na przychodnię-kurnik przy ul. Zamenhofa, z lat 60-tych i druga, najlepsza, przy ul. Wiśniowej, z lat 70-tych. Ten sam brak wyobraźni spowodował, że nie ma w Zielonej Górze stacji pogotowia. A skoro już o wyobraźni: jest czarodziejska różdżka, wystarczy machnąć i spełni się życzenie. Jakie życzenie ma szef wojewódzkiego szpitala?

Tomograf komputerowy za milion dwieście tysięcy dolarów! Własne urządzenie pomogło by lekarzom w pracy i pacjentom w leczeniu. Dalej: właśnie to nieszczęśliwe pogotowie! Jest to nasz punkt zapalny! W 1952 roku była jedna karetka. Dziś mamy ich w sumie sześć. Brakuje powozów — na paranki, gabinety, poczekalnie. Tłum dorosłych i dzieci gniecie się w korytarzu. Warunki wprost skandaliczne! Marzy mi się więc stacja pogotowia w obecnym budynku Szkoły Medycznej, zaś szkoła w nowym gmachu, który na leżałoby wybudować. Następna sprawa: nowy super-roentgen do terapii onkologicznej. Dalej: lepsze place. Więcej mieszkań. Więcej lekarzy, pielęgniarek, salowych, specjalistów do aparatury, ludzi do utrzymywania w porządku 14-hektarowego placu, na którym rozciąga się szpital. Bezawaryjnych urządzeń pralniczych, co jest bardzo ważne, gdyż w szpitalu każdego dnia pierze się 3,5 tony bielizny! Więcej pieniędzy na remonty! Mnóstwo ich potrzeba pilnie na podreperowanie przychodni przy pl. Wielkopolskim. Podniesienie rangi medycyny ogólnej! Wszędzie na świecie przynajmniej 70 procent porad udzielają lekarze ogólni. A u nas, gdy oko zacierwie nieje bieżnie się wprost do okulisty, a gdy zaboli gardło, do laryngologa. Chciałbym też, aby ludzie uświadomili sobie, że ich kondycja zależy tylko w pewnym stopniu od służby zdrowia. Są przede wszystkim od nich samych. Społeczeństwo nasze jest otyłe, nieruchawe, a gdy ktoś biegnie po parku, uważa, że jest za wariata. Przemysł i handel oferują produkty przesłodzone, przetłuszczone i wciąż pokutuje ideał „jeść, pić i ponaszczać nas”. Stąd wiele smutnych skutków. Potrzebna jest zmiana poglądów na sprawy żywienia i zdrowia.

Mówi Pan, kondycja. Jaka kondycja wobec tego ma dyrektor wielkiego zakładu ze zdrowiem w tytule, w dodatku lekarz, który każe pokochać chorobę?

Bez przesady z tą miłością... A ja nie narzekam. Z wykształcenia jestem patomorfologiem. Pracuję od 1953 roku, od 7 lat na stanowisku dyrektora. Uważam, że pomimo trudności i braków, nasza służba zdrowia pracuje bardzo dobrze. Gdybym nie był o tym przekonany, musiałbym się chyba zwołać!

— Dziękuję za rozmowę i życzę zdrowia Panu oraz pacjentom.
Rozmawiała: HALINA ANSKA

Pokochać chorobę



Dr Czesław Wieliczko: —Place lekarzy są dziś dramatycznie niskie...
Fot.: CZ. LUNIEWICZ

Je i wyodrębnić chorobę. Tymczasem jest to aparat pozwalający na wąsko-specjalistyczne badania, służące lekarzowi do postawienia diagnozy i ustalenia sposobu leczenia. Ultrasonograf wykazuje np. guzy w jamie brzusznej, ale nie określa ich pochodzenia. Mamy niestety wyposażoną radiologię. Szybko i sprawnie działa laboratorium. Pacjentów chorujących na nowotwory możemy, gdy trzeba, leczyć promieniami Roentgena, kobaltami i radem. Oddziałami kierują lekarze z dużą wiedzą i doświadczeniem. Trzy razy byłem sam pacjentem tego szpitala na różnych oddziałach i miałem możliwość podglądać ich pracę z innej strony, niż ją widzę na co dzień.

Część jednak wyjeżdża stąd, jak mawiał Pan Stefanek, nogami do przodu.

Niestety, takie jest życie. W szpitalach również ludzie umierają. Rocznie mamy około 600 zgonów. W większości wywołują je ludzie starzy, nieuleczalnie chorzy lub z ciężkimi urazami. Miejsce leżącego już pana Stefanka, jakby wciąż niezajęte. Nie ma chętnych do pracy przy transporcie zwłok. A przecież ktoś to robić musi.

Wywieszka na drzwiach wskazuje, że przyjmuje Pan skargi. Czego dotyczą?

Najczęściej wypisania ze szpitala pacjenta w podeszłym wieku, zdaniem

Zaradni dobrze widziani

Ciąg dalszy ze str. 1

Fizyki Jądrowej w Krakowie". Jerzy Zylinski i Mirosław Kopczyński z Górzowa wymyślili „Gazalarm” czyli detektor zagrożenia pożarowego i wybuchowego.

Spółka Henryka Dymaczewskiego i Bolesława Korzysty w Zielonej Górze produkuje lasery helowo-neonowe. Wśród odbiorców — Uniwersytet Jagielloński, Politechnika Warszawska, Instytut Badań Jądrowych w Świerku. Firma braci Rudzińskich (minikomputery i urządzenia peryferyjne) jest partnerem Ministerstwa Edukacji Narodowej, a przy okazji — za pośrednictwem „Gazety Lubuskiej” — lansuje telewizję satelitarną. Kazimierz Płociński i Ryszard Śnieżko (także zakład innowacyjno-wdrożeniowy) eliminują import pasów zębatych do maszyn wiórkarskich.

Znaczący dopływ kadry inżynierskiej ma tylko jednym z przejawów coraz lepszego przygotowania zawodowego lubuskiego rzemiosła. Co trzeci właściciel legitymuje się dziś dyplomem mistrza co czwartemu — czeladnika, co siódmemu — tytułem technika. Gdy w 1951 roku powstała w Zielonej Górze Izba Rzemieślnicza złożyło w niej egzaminu 6 mistrzów i 63 czeladników. W ubiegłym roku — osiemnastokrotnie więcej.

Większy zasób wiedzy, nowatorstwo w myśleniu i działaniu — oto pierwsza tendencja zarysowująca się wyraźnie w zielonogórsko-gorzowskim rzemiośle. Druga — to coraz częstsze wygładzanie poza opłotki regionu i kraju, stawka na eksport.

Szczegółowe powody do zadowolenia ma gorzowska spółdzielnia „Progres”

(coś, nazwa zobowiązuje), od lat znajduje się w czołówce kontrahentów Towarzystwa Eksportowo-Importowego „Remex”. Rzemieślnicy w niej zrzeszeni zarobili w ub. roku między innymi 120 mln złotych dzięki kooperacji z kombinatem IFA.

NRD, RFN, Finlandia, Dania, Szwecja, Francja...

Na początku tego roku

PRZELAMANO SYMBOLICZNĄ BARIERĘ

Zielonogórski stolarz Engelbert Cierpiak jako pierwszy lubuski rzemieślnik otrzymał koncesję na samodzielny handel zagranicą. O klientach nie musi się martwić, jego meble ogrodowe zyskały już sobie uznanie w krajach skandynawskich. O krok od koncesji jest mistrz rzemiosła artystycznych z Zagania Jan Wozniak. Na zamieszonym w „Słowie Zarskim” zdjęciu wręcz wykonany w swym zakładzie kryształowy puchar Janowi Pawłowi II. To się nazywa reklama...

Coraz częściej przelamywana jest też inna bariera, raczej o charakterze psychologicznym niż formalnym. Chodzi o kooperację z gospodarką społeczną. Jeszcze nie tak dawno każdy dyrektor długo się zastanawiał, zanim nawiązał współpracę z sektorem prywatnym. Dziś np. firma metalowa Jana Dece i Jerzego Świdra z Cigacic może wybrzydząć przy przyjmowaniu zamówień. W kolejce czekają: „Zastal”, „Odra”, „Huta Miedzi w Głogowie”, Andrzej Marek z Myśliborza zdobył wyroby „Koral”, „Diany”, bydgoskiego „Dziatnotex”. Spółdzielnia rzemiosła budowlanych „Murator” z Gorzowa podpisała umowę ze „Stilonem” na 700 mln złotych. M.in. przygotowywać będzie pomieszczenie do

produkcji wideokaset. Bez pomocy rzemiosła wiele przedsiębiorstw budowlanych miałoby znacznie poważniejsze kłopoty z realizacją planów.

I kolejna bariera. Przez długie lata — nie ma co ukrywać — w niektórych przynajmniej, kręgach decyzyjnych pokutowała opinia, iż rzemiosło stanowi przeszkodę na zdrowym ciebie socjalizmu. Tolerowany był w ostateczności drobny usługowiec, najczęściej klepiący po prostu biedę. Dziś sytuacja wyraźnie się zmieniła. Wprawdzie nadal w lubuskim rzemiośle zakłady jedno- i dwuosobowe stanowią blisko 80 proc., ale jednocześnie właśnie w ub. roku po raz pierwszy średni wskaźnik zatrudnienia w zakładzie przekroczył 2 osoby. Już 280 zakładów rzemieślniczych zatrudnia po nad siedmiu pracowników, jak np. mieścące się w rejonie Zary-Zagań dwie cegielnie. „Świdex” daje zatrudnienie 40 osobom, sąsiadujący z nim Zakład Koncentratów Spożywczych „Coled” — 23. Blisko 40 osób pracuje u Stefana Szymaszki w Kostrzynie, w jednej w kraju prywatnej wytwórni papieru toaletowego (3,6 mln rolek rocznie). Choć z drugiej strony, właśnie pan Szymaszek najlepiej wie, jak niełatwy jest jeszcze żywot rzemieślnika, jak często przypomina on „bieg przez przeszkodę”, jak kłopotliwy w oczy zabójstwo w sektorze prywatnym ziołówek. O jego pryncypach pisał między innymi „Nadodrza”, „Ziemia Gorzowska”, „Trybuna Ludu”, „Polityka”, „Veto”, „Tu i teraz”...

Mimo korzystnych zmian, rzemiosło to jeszcze

TROCHE „DROGA POD GÓRKĘ”

Mniejsza o brak surowców, materiałów, maszyn, benzyny. W sytuacji „krótkiej kasy” nie może być przecież inaczej. Od czego zresztą rzemieślnicza zaradność i przedsiębiorczość... „Gdy wyrzucą cię drzwiami, próbuj oknem”.

Głównie jednak i dzisiaj bolą rzemieślników dwie rzeczy. Po pierwsze — na dół pokutująca w życiowej praktyce nierównowaga z innymi sektorami gospodarki. Dlatego tak ważny jest dla nich postulat zapisania w Konstytucji iż „rzemiosło stanowi trwałe element socjalistycznej gospodarki”. Po drugie — brak dokładnego sprecyzowania i nie-

stabilność reguł gry wobec rzemiosła nieufność ze strony stanowczo zbyt licznych organów kontrolnych. Pociągający jest fakt, iż dostrzegł to zjawisko sam minister Finansów, wskazując w piśmie do służb fiskalnych, aby nie traktowały każdego rzemieślnika jak potencjalnego przestępcy.

Dla ponad 900 osób owa „górką” okazała się w ubiegłym roku zbyt wysoka. Przyczyną likwidacji warsztatów były różne: co ósmy deklarował, iż w grę wchodził brak zamówień, co dwunasty — że brak zaopatrzenia.

Jednocześnie jednak 1800 optymistów zdecydowało w tym samym okresie, że warto... I taka fluktuacja jest chyba, mimo wszystko, pozytywnym zjawiskiem. Niechaj próbuje każdy, a pozostają ci najlepší, potrafiący się dostosować do zasad rynkowej gry, do coraz bardziej rosnących wymagań. Wszyscy, którzy „wyczuli”, na jakie wyroby i usługi istnieje dziś społeczne zapotrzebowanie. Jak właściciele zakładów tresury psów w Kostrzynie, czy gorzowski radiesteta.

Publicyści biją na alarm, że znikają typowe rzemiosła usługowe. Ze coraz trudniej o zwykłego krawca, szewca, szklarza, kaletnika, rymarza. Ale działa ją tu prosta prawda ekonomiczna. Tego typu działalność nie jest po prostu opłacalna. Owszem, można by wysokimi kosztami prowadzenia zakładu obciążać klientów. Kłóć jednak chciałby płacić tak wysoką cenę za prostą usługę?

Dlatego w typowych branżach usługowych pracują jeszcze przede wszystkim ludzie starsi, którym trudno jest zmieniać zawód w jesieni życia. 108 lubuskich rzemieślników, leczących sobie 70 i więcej lat to właśnie „usługowcy”.

Coraz wyraźniej widać, iż idzie w rzemiośle nowe. Ale nadal też zachowuje wane są

STARE, DOBRE TRADYCJE

Oznacza to między innymi pewną „klanowość” rzemiosła, przekazywanie warsztatów z pokolenia w pokolenie. W regionie lubuskim mamy dziś ponad 50 rodzin, w których co najmniej trzy osoby prowadzą własne zakłady. Prawdziwi rekordziści, to Śmieszonowie z Międzybuzia (14 osób). Pieszkowie z Zarzeczem (8), Piatkowie z Myśliborza.

Dobre tradycje to również ukochanie swej pracy, szczególnie widoczne w

starszym pokoleniu. Kiedy 80-letni mistrz rzemiosła artystycznego Mikołaj Wołoszczuk z Nowej Soli powiada „to jest całe moje życie”, można mu śmiało wierzyć.

Wrzeszczę — to mocne zaangażowanie w działalność społeczną. Są tu dobre wzorce do naśladowania, wzorce prawdziwego patriotyzmu: jak powstałe dokładnie 90 lat temu Towarzystwo Polskich Rzemieślników w Zielonej Górze, któremu przewodził zamordowany przez hitlerowców mistrz blacharski Kazimierz Lisowski; jak działające Związki Polaków w Niemczech — szewc Feliks Paździorzek z Pszczewa, kowal Feliks Bednarkiewicz z Nowego Kramka, fryzjer Ludwik Kasprzak z Dąbrowki Wilkop.

Dzisiaj zaangażowanie wyraża się między innymi w czynach społecznych na rzecz najbliższego otoczenia. Ich łączna wartość wyniosła w ubiegłym roku ponad 50 mln złotych. Daje to ponad 4,5 tysiąca złotych na każdy zakład rzemieślniczy. Jakże środowisko pochwalić się może równie dobrymi efektami?

SĄ WŚRÓD NAS

stanowiąc nie tak znowu małą grupę zawodową. Ogółem w Zielonogórskim i Gorzowskim mamy dziś ponad 11,100 zakładów, wobec niespełna 1400 w 1951 roku. Zatrudniają ponad 25 tys. osób, w tym 2800 uczniów.

Patrząc na nich niekiedy z nietępo na zazdrość. A przecież ich spore dochody (najczęściej mocno przesadzone) biorą się z ciężkiej, nie liczącej godzin, pracy. Nie są środowiskiem zamkniętym. Jest wśród nich zawsze miejsce dla wszystkich z otwartą głową i złotym rekiem.

Gdy dopisuje im humor, mogą zawsze zaśpiewać:
„Rzemiosło da się lubić, i to piękną, i to niedzielną.
Tu zawsze czekać się wypis, choć urzędnik łóżko ściele.
Wystarczy łeb na karku, wystarczy złota ręka.
a sam sobie jesteś sterem i żeglarną, i okretem.
Rzemiosło da się lubić, bez względu na nastroje,
na wozie czy pod wozem, jakoś wyjdiesz na swoje”.

EDWARD J. MINCER

Dziś trudno ustalić, kiedy i w jakich okolicznościach Muzeum Ziemi Lubuskiej nabyło pierwszy druk prawniczy wydany w języku polskim. Chodzi tu o pracę Pawła Szczerbica, wydrukowaną we Lwowie w 1581 r., znaną jako „prawo magdeburskie”. P. Szczerbic (1552-1609) był pisarzem polsko-lubuskim, syndykiem i pisarzem Lwowa, sekretarzem królewskim, duchownym. Zebrał i przetłumaczył na język polski oraz wydał *Ius municipale*. To jest prawo miejskie magdeburskie... i *Speculum Saxonum* albo prawo saskie i magdeburskie... Prawo miejskie Magdeburga od końca XII wieku było wzorem prawnym organizacyjnym dla innych miast wschodniemiejskich. Od XIII wieku przyjmowały je miasta polskie lokowane na prawie niemieckim (np. Wrocław — 1242 r., Kraków — 1257 r.). Od XVI wieku do upadku Rzeczypospolitej przedziorowój prawo magdeburskie było synonimem polskiego prawa miejskiego. Tak więc druk przechowywany w zielonogórskim muzeum był i zabytkiem, i podręcznikiem niezbędnym przy badaniu rozplanowania — miast nadodrzańskich. Korzystali z niego nie tylko historycy, lecz i konserwatorzy zabytków, urbanisci, pracownicy muzeum i szkół wyższych. Był on pomocny Janowi Muszyńskiemu, kiedy pisał pracę pt. *Rene*

sansowe zdołnictwo Wielkopolski. Na jego prośbę Czesław Luniewicz wykonał fotografię strony tytułowej *Ius municipale*..., która, jak się później okazało, posłużyła sądowi do udowodnienia winy Janusza K., zastępcy dyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że obie prace P. Szczerbica zostały oprowiane przez prawnopodobnie XVIII-wiecznego introligatora — w jeden klocek i w takiej postaci znajdowały się w muzeum. Nie wiadomo dlaczego introligator stronę tytułową umieścił nie na początku, lecz między dalszymi kartami dzieła. Była to cecha charakterystyczna dzieła wydanego w Zielonej Górze egzemplarza pracy P. Szczerbica.

Starodruki muzeum gromadziło w bibliotece, zaś pozostałe zabytki w magazynach poszczególnych działów znajdujących się w gmachu przy al. Niepodległości 15 i w pałacach na terenie Ziemi Lubuskiej. Każdy zakupiony druk biotekarka oznaczała stemplem koloru zielonego „Muzeum Okręgowe w Zielonej Górze — Biblioteka” oraz numerem ewidencyjnym, wpisywanym na stronie tytułowej lub na jej odwrocie. Wiele książek zawierało dodatkowe znaki ewidencyjne umieszczone na dalszych kartach. W połowie lat siedemdziesiątych

gdy dyrekcję Muzeum Ziemi Lubuskiej objął dr Jan Muszyński, bibliotekę rozwinął. Część księgozbioru przeszła na własność Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze. Pozostałe druki rozparcelowano między poszczególne działy muzeum. „W ten sposób znalazły się one także w dziale historycznym, którego byłem asystentem — powiedział sądowi Janusz K. — Jak pamiętam, skatalogowałem je po-

ko to była książka. Ze strony (Janusza K.) padło takie określenie: stara książka, ale nie jestem pewien, czy użył określenia: starodruk. Nie znam się na tym i nie interesuję się. W związku z powyższym chyba nie uzgadniałmy ceny, po jakiej mam oferować książkę.” Nie było tajemnicą, że Mirosław Gryczuk, konserwator zbiorów bibliotecznych, interesuje się prawem polskim i sejmem. „Dwa lata temu A. Buck przyniósł mi staro-

Profesor uznał, że starodruk należy rozdzielić. „W materiałach źródłowych zorientowałem się, że „Ius municipale...” bywa traktowane jako oddzielna całość, a „prawo saskie” jako odrębna, i stąd wyrażałem pogląd, zaakceptowany przez niego, że rozdzielnie tej książki jest możliwe” — przypomniał sobie M. Gryczuk. „Zdecydowałem się na rozdzielanie tej książki na dwie odrębne pozycje, gdyż praktycznie stanowiły one dwie książki i uważałem, że nie spowoduje to uszczerbku na jej wartości historycznej, tym bardziej że oprawa jej nie została zachowana, a istniejąca była niechlujna” — wytłumaczył sądowi W. Pasterniak. Konserwację starodruku M. Gryczuk wykonał w ramach obowiązków służbowych w pracowni bibliotecznej.

Następnie prof. dr hab. W. Pasterniak sprzedał starodruk w antykwaracie w Poznaniu za 150 tysięcy złotych. Pytany przez sąd, dlaczego nie zaoferował „Ius municipale...” antykwaratowi w Zielonej Górze, odpowiedział: „W Poznaniu wartość starodruku wyuceni kierownik antykwaratu, który jest uznanym fachowcem w tej dziedzinie, zaś wyuczona kwota zadowoliła mnie. Uważałem ją za wysoką, nie proponowałem własnej kwoty.” Dzień później „Ius municipale...” kupiła Biblioteka Główna WSP w Zielonej Górze. „W jaki sposób biblioteka dowiedziała się o zakupie przez antykwarat, nie wiem — zeznał prof. dr hab. W. Pasterniak. — Być może pomiędzy nią a antykwarem istniały takie kontakty, które umożliwiały zakup. Nie oferowałem jej do sprzedaży bibliotecznej WSP, gdyż nie ma ona uprawnień do zakupów od osób prywatnych. I nie orientowałem się, czy biblioteka posiada już tę książkę.” W ten sposób *Ius municipale*..., wykradzione z Muzeum Ziemi Lubuskiej, znalazło się w Bibliotece Głównej WSP.

Janusz K. nie przyznał się do kradzieży starodruku, chociaż wszystko wskazywało na to, że dokonał przestępstwa. Udowodnienie winy nie było proste. Otóż R. Korneluk powiedział sądowi: „Na WSP pokazano mi „Ius municipale...”, które wprawdzie było w dwóch tomach, ale na podstawie fotografii karty tytułowej, która uwzględniała także charakterystyczne plamy i zabrudzenia, nie miałem wątpliwości, że okazany mi egzemplarz jest tym samym. Dotyczyło to także sposobu druku karty tytułowej.” Zdjęcie karty tytułowej, wykonane przed wielu laty posłużyło ekspertom do ustalenia, że starodruk zakupiony przez WSP w antykwaracie w Poznaniu jest tym samym, który

Co się wydarzyło w muzeum

PRAWO

przez opisanie, a ponieważ nie były one traktowane jako eksponaty lecz jako materiały pomocnicze, nie było potrzeby fotografowania. Z tych samych powodów i z uwagi na ciasnotę leżały na szafkach jak pozostałe książki.” W 1979 r. Janusz K. został kierownikiem działu historycznego i zaprzestął katalogowania starodruków. W lutym 1984 r. wojewoda zielonogórski powołał go na stanowisko wicedyrektora Muzeum Ziemi Lubuskiej do spraw administracyjnych. Pozostawał on nadal kierownikiem działu historycznego, w którym pracowali Wiesław Myszkiewicz i Robert Korneluk.

Wśród starodruków przeniesionych do działu historycznego znajdował się klocek zawierający *Ius municipale*... Potwierdził to Janusz K., oświadczając przed sądem: „Osobiście korzystałem kiedyś z „Ius municipale...”, bo potrzebne mi były wiadomości o prawie magdeburskim. Na pewno pozostawiłem je w pomieszczeniach działu.” Potem starodruk wywożącemu Biuro Dokumentacji Zabytków, zwróciło go do muzeum, lecz nie do działu historycznego, ale do działu sztuki dawnej, kierowanego przez Kamile Marchelek. „Przed przeniesieniem do nowych pomieszczeń chyba od K. Marchelek otrzymałem „Ius municipale...” i wtedy się dowiedziałem, że jest to własność działu historycznego — zeznał R. Korneluk. — Miałem ją na biurku, chciałem przeczytać, jednakże (Janusz K.) zabrał tę książkę, ale obiecał, że mi ją udostępni. Nie pamiętam, czy mówił, dlaczego zabiera.” Również W. Myszkiewicz stwierdził, że oglądał *Ius municipale*... Jego zdaniem, „brak było bliżej nieokreślonej ilości kart, kilka kart pod koniec było luzem, było widać ślady wskazujące na to, że wcześniej następował proces zniszczenia przez pleśń. Nie określiłbym stanu tej książki jako bardzo złego, myślę, że proces zniszczenia przez przechowywanie w miejscu zawilgoconym potrwałby kilka miesięcy.”

Jesienią 1986 r. odbyła się inwentaryzacja zbiorów działu historycznego. Komisja nie sprawdzała, czy w dziale znajdują się starodruki, gdyż nie były one zarejestrowane w księdze inwentarowej (z wyjątkiem dwóch książek przekazanych muzeum przez Urząd Celný). Ale członkowie komisji pytali kierownika działu, gdzie przechowywane *Ius municipale*... W. Myszkiewicz pamięta, że Janusz K. odpowiedział, iż starodruk ma w swoim gabinecie na parterze. Komisja przeglądała zawartość kufra, który znajdował się w magazynie działu historycznego. Znalazła w nim negatywy i zdjęcie strony tytułowej *Ius municipale*..., to samo, które kiedyś na prośbę J. Muszyńskiego wykonał Cz. Luniewicz. Dyrekcja muzeum interesowała się stanem zbiorów w dziale historycznym. K. Marchelek powiedziała sądowi: „Na polecenie dyrektora Muszyńskiego w grudniu 1986 r. z Myszkiewiczem sprawdzałam stan starodruków w dziale historycznym. Chodziło wówczas o „Kazania” Piotra Skargi. Widziałam wtedy, że „Kazania” leżały w szafie w tym dziale. Pod koniec grudnia 1986 r. dowiedziałam się, że one zniknęły. Ja w latach 1982-83 sporządzałam karty katalogowe tych starodruków, którymi interesowałam się z uwagi na wartość ilustracyjną. Gdy wyszła sprawa braku starodruków, stwierdziłam brak kart, które sporządzałam.”

Po drugiej inwentaryzacji, przeprowadzonej w styczniu 1987 r., Janusz K. został oskarżony przez prokuratora o kradzież wielu przedmiotów stanowiących własność Muzeum Ziemi Lubuskiej, m.in. starodruku *Ius municipale*..., wartości 160 tysięcy złotych. Nie przyznał się do winy. „Okoliczności, w jakich zginęło „Ius municipale...” z muzeum, nie potrafię przedstawić — powiedział sądowi. — O braku dowiedziałem się od Myszkiewicza na początku br. (w styczniu 1987 r. — przyp. AS).”

Spytany, czy oferował druki do sprzedaży pracownikom zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, odrzekł: „Nie oferowałem do sprzedaży „Ius municipale...”. Natomiast byłem w posiadaniu starodruku składającego się z jednego bloku, którego nazwy nie potrafię powtórzyć, a który nabyłem od kobiety zamieszkałej w Trzebiechowie. Przywiozła go do mnie, do muzeum, z propozycją kupna, na co dałem jej *revers*. Po pewnym czasie zdecydowałem się na kupno za 8 tysięcy złotych, które przelałem jej przelewem pocztowym, przy czym nabyłem to dla siebie, a nie dla muzeum, i z kolei zaoferowałem do sprzedaży Andrzejowi Buckowi.” A. Buck, zastępca dyrektora Biblioteki Głównej WSP, nie zapamiętał szczegółów; powiedział, że „było to półtora roku temu, (Janusz K.) przyniósł książkę owiniętą w gazetę, z prośbą o znalezienie przez mnie kupca na nią. Nie wiem, ja

druk w coś owinięty, powiedział, że jest w posiadaniu jego i chciałby, abym go obejrzał. Spytał, czy mnie to zainteresuje. Stwierdziłem, że jest to starodruk w bardzo złym stanie, z kartami postrzępionymi i zbutwiałymi, któremu brakowało około 5 stron. Zorientowałem się, że jest to praca Szczerbica. Nie byłem zainteresowany jego nabywaniem, ale postanowiłem pokazać go Pasterniakowi, o którym wiedziałem, że interesuje się starodrukami” — zeznał M. Gryczuk. Prof. dr hab. Wojciech Pasterniak poinformował sąd, że „nastąpiło to na zasadzie wymiany na 1-2 innych książek. (...) Ponieważ w instytucie, w którym pracuję, istnieje Koło Miłośników Dawnej Książki, tego rodzaju praktyki były u nas przyjęte i traktowane jako normalne.” Po pewnym czasie prof. dr hab. W. Pasterniak dał M. Gryczukowi jeden z tomów *Volumina legum*, książki popularnej na rynku antykwarycznym, znacznie tańszej. *Volumina legum* — pod tym tytułem wydany został po raz pierwszy w wieku XVIII ogólny zbiór wszystkich praw polskich w ośmiu tomach, potem wznawiany. „Buckowi powiedziałem o tej wymianie, a ponieważ znałem wartość „Volumina legum” z katalogu WSP, równoważność w kwocie 8 tysięcy złotych przekazałem Buckowi.” Pieniądze otrzymał (Janusz K.).

Prof. dr hab. W. Pasterniak w dalszej części składania wyjaśnień powiedział: „Wydaje mi się, że oprócz pozycji wymienionej przekazałem Gryczukowi także jeszcze jedną książkę i uważałem, że ich wartość jest zbliżona do wartości pozycji otrzymanej.” Tego faktu nie potwierdził M. Gryczuk. Sąd spytał, czy profesor nie zauważył odcisku pieczęci



Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ

biblioteki muzealnej. „Ta pieczęć, która się znajdowała w „Ius municipale...”, musiała być nieczytelna, a nieczytelność pieczęci na starodrukach zdarza się często” — odpowiedział. Zdaniem M. Gryczuka, „ta książka nie mogła znajdować się w żadnej bibliotece”, gdyż „kartki książki były rozdzielone, rozsypane, zawilgocone”. R. Korneluk oświadczył, że przeglądał starodruk pobieżnie, ale nie stwierdził, „aby był on zawilgocony, zbutwiał itp.”

Po jakimś czasie prof. dr hab. W. Pasterniak zlecił M. Gryczukowi konserwację starodruku. „Polegało to na zabezpieczeniu przed dalszym pleśnieniem, usunięciu części zbutwiałych, zszyciu i oprawieniu” — zeznał konserwator.

wcześniej konserwował M. Gryczuk, posiadał prof. dr hab. W. Pasterniak, a który pierwotnie był własnością muzeum.

Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze uznał Janusza K. winnym. Za zagarnięcie *Ius municipale*... skazał Janusza K. na dwa lata więzienia i zagiadził karę o połowę oraz wymierzył mu grzywnę w wysokości 150 tys. złotych. Sąd ukarał Janusza K. i za inne przestępstwa, wymierzając mu łączną karę: dwa lata więzienia, 250 tysięcy złotych grzywny, zakaz zajmowania stanowisk kierowniczych przez cztery lata, pokrycie kosztów sądowych.

ALFRED SIATECKI

Samo życie

W miasteczku Northern Shores w stanie Michigan w USA 26-letni fanatyk religijny Bentley James Dobben wrzucił do pieca hutniczego swych dwóch synów w wieku trzech lat i półtora roku, tłumacząc potem, że uczynił to na rozkaz głosu z zaświatów.

W Paryżu 24-letni homoseksualista i narkoman Thierry Paulin z Martyniki, uznany potem za niezdolnego psychicznie, w latach 1984—87 uduł 40 starszuszek, jak twierdzi — dla przyjemności i pieniędzy.

W Lindenhurst na Long Island koło Nowego Jorku 25-letni pielęgniarz Ricardo Angelo, z pochodzenia Włoch, spowodował umyślnie śmierć siedmiu pacjentów szpitala, przez podawanie im narkotyków w olbrzymich dawkach.

W Dover w stanie Arkansas w USA 47-letni Gene Simmons w napadzie furii zastrzelił 16 osób, zacinając od własnej pięcioposobowej rodziny, z którą siedział przy świątecznym stole obok choinki.

We francuskich Alpach, pomimo wysiłków lyońskiej żandarmerii, wciąż po zostaje na wolności tajemniczy morderca, którego ofiarą w ostatnim czasie padło kilkanaście osób obojga płci i w różnym wieku.

W Melbourne w Australii, w biurówce pocztowej przy Queen Street, 22-letni student zdenerwowany obłanym egzaminem wyjął nagle pistolet i zabił kolejno osiem osób.

A u nas? W Gdańsku 24-letni Wiesław K. wraz z 46-letnim Renardem I. zarabiali siekierą reńską Anasztazję K. uchodzącą za osobę zamożną, ponieważ trudniła się handlem kwiatami.

W Lesie Sekocińskim pod Warszawą znaleziono zamordowaną 28-letnią Marię K. — sekretarkę w jednym z ministerstw, która, jak się okazało, w dniu śmierci obchodziła imieniny i zginęła przypadkiem z rak pijanej kobiety.

W Fordonie Mieczysław F. podczas kłótni małżeńskiej strzelił do żony ze skonstruowanej przez siebie broni — i strzał okazał się śmiertelny.

W Łodzi 27-letnia Maria M. ze swym kochankiem 39-letnim Stanisławem M. zabił poborcę podatkowego 59-letniego Stefana R., zwiłki poćwiartowali i ukryli w waznach.

W Krakowie został skazany na śmierć Ryszard B., który zamordował nożem swych długoletnich opiekunów i pracodawców.

W Częstochowie 17-letnia Jolanta D. zabiła swego dwu i pół miesięcznego synka, uderzając dzieckiem parokrotnie o blat stołu i w ten sposób łamiąc mu zębra oraz czaszkę.

Jeszcze kilka wieści ze świata.

U wybrzeży Meksyku, na statku zmierzającym do USA, policja wykryła przez myt siedmiu ton marihuany.

W Rzymie 50-letnia Wirginia Papala i 47-letnia Rita Francati odebrały sobie życie, aby swym samobójstwem zaalarmować opinię publiczną Włoch dramatyczną sytuacją 23 tysięcy rodzin, wyeksmiutowanych tej zimy z mieszkań.

W Nicei we Francji dwaj zamaskowani gangsterzy napadli na furgonetkę wiozącą pieniądze do banku i zrabowali 10 milionów franków.

W Lubce w RFN policja aresztowała 27-letnią Christinę Gabriellę Endrickę, podejrzaną o podłożenie bomby w dyskotekę „La Belle” w Berlinie Zachodnim pamiętnego dnia 5 kwietnia 1986 r. i spowodowanie wówczas śmierci trzech osób oraz ciężkich kaleczeń 230 osób.

W dzielnicy Brooklyn w Nowym Jorku, w dyskotekę, gdzie bawiło się 400 osób, wybuchła strzelanina, w której dwie osoby zostały zabite, a 13 ciężko rannych.

W Wenezueli, w luksusowym hotelu na wyspie Margarita, podczas uczty we seleny jedenaście osób poniosło śmierć w ogniu, wśród nich para młodych.

W Kolumbii ziemia i skały osunęły się wprost na szosę, po której przejeżdżały samochody i śmierć poniosło 30 osób.

W pobliżu Izmiru w Turcji, w karambolu na szosie siedem osób poniosło śmierć, a 37 w ciężkim stanie odwieziono do szpitali.

W stanach Wisconsin, Iowa i Minnesota w USA śnieżyce i mrozy. W Jugosławii i Japonii trzęsienia ziemi. Katastrofy — samolotowa w Chinach, kolejowa w Gruzji. Pożar metra w Anglii. W Rzymie demonstracje rasistowskie przeciwko Żydom, Murzynom, Arabom i Cyganom. Huragan nad NRD. Tajfun Nina nad Filipinami: 658 osób zabitych, około tysiąca zaginionych, 14 miejscowości pod wodą.

A u nas?

W Szczytnie w woj. olsztyńskim 36-letnia Krystyna P. rozwiesiła pranie nad zapaloną kuchenką gazową, poszła spać — i zmarła wraz z trojgiem małych dzieci na skutek zacczadzenia.

W Lublinie nieznani złodzieje obrabowali cerkiew prawosławną i kościół katolicki, zabierając wszystkie ikony, rzytze i złote precjoza.

W woj. olsztyńskim grasuje wciąż jeszcze bezkarnie (?) banda włamywaczy złożona z „wybitnych” specjalistów, umiających błyskawicznie otworzyć każdy zamek.

W Olsztynie dwaj uczniowie Zespołu Szkół Gastronomiczno-Spożywczych napadli w maskach na sklep Peweksu w hotelu „Warmiński”, ponieważ — jak powiedzieli potem — pilnie potrzebowali 500 dolarów.

W woj. białostockim ujęto pięcioposobową szajkę, mającą na sumieniu 56 rabunków, w której składzie jest kobieta: 30-letnia Eugenia K. pracownica inżynierska państwowej, ciesząca się dotychczas w środowisku nienaganną opinią.

W Lublinie na Krakowskim Przedmieściu nieznany cwaniak podający się za cudzoziemca, za olbrzymie sumy złotych i dolarów sprzedawał kilku zamożnym ludziom wypolerowane, miedziane kopieki z 1911 r., podając, iż są ze „szczerego złota”.

W Gdańsku ujęto 30-letniego Marka B. z Gdyni, noszącego pseudonim „Hrabia”, który odpowiadać będzie za 884 kradzieże na sumę ponad 10 milionów zł.

Na zakończenie przekiadaniec.

Skandal na Sycylii: dyrekcja szpitala w Katanii przywłaszczyla sobie prywatnie kilkadziesiąt milionów lirów, przeznaczonych na remont podupadłych budynków szpitalnych. Skandal w Mediolanie: wykryto tu uprawiany od lat na szeroką skalę handel prawami jazdy.

Skandal w Warszawie: inspektorzy wydziału lokalowego w jednym ze stołecznych urzędów dzielnicowych, pobierali gigantyczne łapówki za przydziały mieszkań — w złotych polskich, w dewizach, futrach, biżuterii, meblach itp.

W RFN zmarły 52 osoby na skutek zatrucia szwajcarskim serem, wyprodukowanym przez znaną w świecie firmę Vacherin Mont d'Or, a zawierającym trujące bakterie „*listeria monocytogenes*”.

W Bydgoszczy w zakładach „Romet” podano pracownikom tzw. posiłek regeneracyjny w postaci zupy grochowej z ozorkiem wyciśniętym jako wkładka, po czym natychmiast zachorowało 60 osób, z czego 21 osób przewieziono do szpitala z objawami ostrego zatrucia.

Ech życia, życie...

EWA FOSS

opowiadanie

„KADODRZE” 3.IV. — 16.IV.1988; ROK XXXII; NR 7 (664)

Sceny miłosne w literaturze pięknej

obiadu, strzelał palcami na kelnera i w ogóle zachowywał się jak gburowaty pastuszek, jakim w rzeczywistości jest. A kiedy już ma dość wszystkich przyzwolonych lokali, prosi, abym mu pokazał coś bardziej prymitywnego. Chciałby pójść do jakiegoś bardzo taniego przybytku i zatrudnić dwie lub trzy dziewczyny naraz. Wiodę go bulwarem de la Chapelle, ostrzegając co chwila, żeby uważał na portfel. Koło Aubervilliers dajemy nura do taniej speluny i natychmiast mamy całe stado dookoła. Za chwilę tańczy z gołą dziewczyną, potężną blondynką z faldami na pośladkach. Widać jej d... odbijaną przez tuzin luster, którymi wyłożono salę — i te jej ciemne koślawe palce wpijające się w nią czule. Na stole pełno szklanki piwa, mechaniczna pianola gwiżdże i chrzypi. Nie zajęte dziewczęta siedzą wygodnie na skórzanych ławkach, drapiąc się beztrosko, zupełnie jak rodzina szympanów. Nastroj ujarzmionego pandemonium, hamowanego gwałtu, tak jakby oczekiwaną eksplozją mogła nastąpić pod wpływem jakiegoś maleńkiego bodźca, czegoś mikroskopijnego, ale zupełnie nieprzewidywanego, całkowicie nieprzewidywanego. W tym nastroju półspoczynku, który pozwala brać udział w wydarzeniach, a jednocześnie pozostawia jakby poza nimi, ten mały brakujący element zaczął niewyraźnie, ale uparcie krzątać, przybierał kapryśną krystaliczną formę, tak jak mróz, kiedy osiada na szybie. I jak te mroźne desenie, które wy-

powodów może pragnąć róż. Z takich czy innych powodów człowiek wygląda cudu i gotów o niego podjąć krwawą walkę. Gotów wypaczyć sobie przez idee, gotów się skurczyć do cienia, jeżeli na jedną bodaj sekundę pozwoli mu to oderwać się od ohydry rzeczywistości. Wszystko jest do zniesienia — nielaska, upokorzenie, bieda, wojna, zbrodnia, ennuj — jeśli wierzymy, że na jutro coś się wydarzy, jakiś cud, który czyni życie zniosliwszym. A przez cały czas w środku idzie licznik i nie ma ręki, która by mogła sięgnąć i go zatrzymać. Przez cały czas ktoś zjada chleb życia i spija wino, jakiś brudny tłusty karaluchowaty ksiądz schowany w piwnicy, zając się, podczas gdy na górze w ulicznym świetle uporne zastępy dotykają warg, a krew jest blada jak woda. I z tego nieskończonego zamętu i nieszczęścia nie wylania się żaden cud, najmniejsza choćby ulga. Tylko idee, blade, rozrzedzone idee, które tuczą się rzezią: idee wypływające jak żółć, jak świńskie flaki, kiedy się rozetnie ścierwo.

Zastanawiam się, co to mógłby być za cud, jeżeli ten cud, do którego człowiek wiecznie dąży, może okazać się niczym więcej, jak tymi dwoma olbrzymimi balasami, które wierny wyznawca upuścił do bidetu. Jeżeli w ostatecznym momencie, kiedy stół zastawiono do uczy i uderzono w cymbały, ukaże się niespodziewanie i zupełnie bez ostrzeżenia srebrny półmisek, na którym nawet ślepy dostrzeże mi mniej, niż więcej tylko dwie olbrzymie bryły g... Twierdząc, że było by to bardziej cudowne niż wszystko, czego czołowiek oczekiwał. Byłoby cudowne, bo nie wyszło. Byłoby cudowniejsze niż najbardziej szalone marzenie, ponieważ byle kto mógłby sobie wyobrazić tę możliwość, ale nikt dotąd i zapewne nikt w przyszłości tego nie uczyni.

Świadomość, że nie ma się czego spodziewać, podzielała na mnie jakoś uzdrawiająco. Przez tydzień i miesiące, całymi latami, właściwie przez całe życie oczekiwałem, że coś się naprawdę zdarzy, coś niezwykłego, co odmieni moje życie, a teraz nagle, pod wpływem absolutnej beznadziejności wszystkiego, poczułem się uwolniony, poczułem jakby mi zdjęto wielkie brzemie z ramion. O świecie opuściłem towarzystwo, naciągnąwszy młodego Hindusa na parę franków, tyle żeby starczyło na pokój. Idąc w stronę Montparnassu, postanowiłem puścić się z prądem, nie stawiać najmniejszego oporu losowi, bez względu na to, co mi się przyniesie. Nic, co mi się zdarzyło do tej pory, nie zdołało mnie zniszczyć; nie nie zostało zniszczone oprócz moich złudzeń. Ja sam pozostałem nietknięty. Świat był nietknięty. Jutro może nadejść rewolucja, zaraza, trzęsienie ziemi; jutro może nie być ani jednej duszy, od której można by oczekiwać współczucia, pomocy, wiary. Wydało mi się, że wielka klęska już nadeszła, że nie mogę być bardziej samotny niż w tej własnej chwili. Postanowiłem, że nie będę się z niczym wiązał, niczego oczekiwałem, że odąd będę żył jak zwierzę, jak bestia stepowa, jak pirat, jak grabieżca. A gdyby wypowiedziano wojnę i mnie przypadłoby na nią iść, to chwycę mocno bagnet i będę go wbił i wbił aż po rękojeść. A jeśli gwałt będzie nakazem chwili, będę gwałcił i to z nawiązką. Czy w tej własnej chwili, w spokojnym brasku nowego dnia ziemia nie zatacza się od zbrodni i rozpacz? Czy zmienił się bodaj jeden element ludzkiej natury, czy zmienił się gruntownie, zasadniczo przez nieustanny marsz historii? Człowiek został oszukany przez to, co nazywa się lepszą połową swojej natury, nie więcej. Na ostatecznej granicy swego duchowego istnienia człowiek znów znalazł się nagi jak dzikus. Kiedy znajdzie Boga, będzie oszukany do czysta jak szkielet. Trzeba na nowo zanurzyć się w życiu, aby nabrać ciała. Słowo musi się stać ciałem; dusza jest spragniona. Na jakimkolwiek okrucieństwie spocznie moje oko, schwy tam go i pożre. Jeżeli najważniejszą rzeczą jest żyć, to będę żył, nawet gdybym musiał zostać ludożercą. Dotychczas starałem się ocalić swoją czarną powłokę, starałem się chronić te strzępy mięsa, które odkrywają moje kości. Teraz koniec z tym. Osiągnąłem granicę wytrzymałości. Moje plecy dotknęły ściany; już dalej nie mogę się cofać. Jak głęboko sięga historia, jestem martwy. Jeżeli jest jeszcze coś ponad to, będę musiał się odbić. Znalazłem Boga, ale on nie wystarcza. Jestem tylko duchowo martwy. Fizycznie jestem żywy. Moralnie jestem wolny. Świat, który opuściłem, to menażeria. Świat wstaje nad nowym światem, światem dziesięci, przez który wychudłe duchy przedzierają się ostrzymi pazurami. Jeżeli jestem głodny, to wychudną i głodną; idę się nakreślić.

O pierwszej trzydziestu wpadłem do Van Nordena, jak było umówione. Ostrzegłem go, że jeśli nie otworzy, to znaczy, że z kimś śpi, prawdopodobnie ze swoją dupą z Georgii.

Niemniej jednak był, leżał w łóżku wygodnie opatulony, ale jak zwykle z wyrazem znudzenia. Budził się przeklinając siebie albo przeklinając pracę, albo przeklinając życie. Budził się kompletnie zmęczony i przybity, zgębniony myślą, że nie umarł w ciągu nocy.

Usiadłem przy oknie i pocieszałem go, jak mogłem. To nudne zajęcie. Trzeba go dosłownie wykopywać z łóżka. Rano — czyli gdzieś między pierwszą a piątą po południu — rano, jak powiedział, lubi oddawać się rozmyślaniom. Głównie duma o przeszłości. O swoich „dupach”. Wspomina, co odczuwał, co mówił w przełomowych chwilach, kiedy je rznął i tak dalej. Kiedy tak leży krzyżując się i klnąc, gestykuluje palcami w ten sposób dziwny, apatyczny sposób, jakby chciał wywołać wrażenie, że jego niesmak i jest zbyt wielki, aby go wyrazić słowami. Nad łóżkiem wisi irygator trzymany na wszelki wypadek — dla dziewczę, które troję jak pies policyjny. Nawet gdy się już prześpił z którąś z tych mitycznych istot, nadal zwraca się do niej, jak do dziewczyny, prawie nigdy po imieniu. „Moja dziewczyna” — mówi zupełnie tak samo, jak mówi „moja dupa z Georgii”. Idąc do toalety uprzedza mnie: — Jeżeli woadnie moja dupa z Georgii, każ jej zarcękać. Powiedz, że ja tak mówię, i, słuchaj, możesz ją mieć, jak chcesz. Jestem już z nią zmęczony. (C.d.n.)

(Fragmenty prozy Henry Millera pt. „Zwrotnik Raka”, w przekładzie Zofii i Lucjana Porębskich, przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie” nr 5-6 z 1987 r.)

mionami i przewraca oczami. — Pożalowania godny incydent. Ale to przypadek. Jeśli panowie ze chcą parę chwil poczekać, służąca przyniesie trunek. Może panowie zyczą sobie szampana? Tak? — Chciałbym stąd iść — mówi cicho hinduski chłopiec.

— Niech pan się tak nie przejmuj — powiada burdelmama. — Już po wszystkim. Pomyłka zawsze się może zdarzyć. Następnym razem zapyta pan o toaletę — i dalej o tej toalecie, bodajże po jednej na każdym piętrze. I o lazience. — Mam mnóstwo klientów z Anglii — mówi — sami gentlemani. Czy ten pan jest Hindusem? Uroczy łudzkie, Hindusi. Tacy inteligentni. Tacy przystojni.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, uroczy młody gentleman jest bliższy placu. Żaluje teraz, że kupił sztruksowy garnitur, laskę i wieczne pióro. Mówi o ośmiu ślubach, jakie złożył, o wstrzymaniu żółci podniebienia i tym podobnych. Podczas marszu do Dani nie wolno było tknąć nawet porcji lodów. Opowiada mi o kołowrotkach — jak grupa satyrahistów naśladowała pobożność swojego mistrza. Wspomina o dymie, jak idąc obok mistrza rozmawiał z nim. Miałem wrażenie, że znajduję się w towarzystwie jednego z dwunastu apostołów.

Przez następne parę dni czułem się widujemy. Trzeba było organizować wywiady z dziennikarzami i odczyty dla paryskich Hindusów. Zdumiewające, jak te chłodziwe diaby kontaktują się między sobą; zdumiewające też, jak nieskuteczne są ich działania we wszystkim, co dotyczy spraw praktycznych. A ta zardłość, te intrygi, te drobne podłe rywalizacje. Dziesięciu Hindusów razem to całe Indie z ich sektami i schizmami, z ich rasowymi, językowymi, reli-

ZWROTNIK RAKA



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ

gijnymi, politycznymi antagonizmami. Dzięki Gandhiemu doznali przez krótką chwilę cudu zjednoczenia, ale gdy on odejdzie, wszystko się zawali, pograży w sporach i chaosie, tak typowych dla ludów Indii.

Młody Hindus jest, naturalnie, optymistą. Był w Ameryce i zaraził się łatwym idealizmem Amerykanów, urzekł go dostępność wianien, tanie sklepy z mnóstwem drobiazgów, ogólna krzątanina, efektywność, mechanizacja, wysokie zarobki, bezpłatne czytelnictwo i tak dalej. Jego ideałem byłaby amerykańska Indie. Wcale nie jest zachwycony zachowaniem manią Gandhiego. Naprawdę, powiada zupełnie jak członek YMCA. Stuchając jego opowieści o Ameryce, można pomyśleć, jak beznasenne jest oczekiwanie Gandhiego na cud, który by zawrócił nurt przemian. To nie Anglia jest wrogiem Indii, lecz Ameryka. Wrogiem Indii jest duch czasu, ręka, która nie może się cofnąć. Nie zdoła pokonać wirusa, który zatruwa cały świat. Sama Ameryka jest ucieleśnieniem zagłady. Pociągnie ze sobą w bezdenną przepaść cały świat.

On uważa, że Amerykanie są bardzo naiwni. Opowiada o tych łatwowiernych duszach, które go tak wspomagały — kwakrowie, unitarianie, teozofici, nowi myśliciele, adwentyści Dnia Siódnego i inni. Wiedział, dokąd skierować swoją łódź, ten bystry młody człowiek. Umiął w odpowiednim momencie napelnić oczy łzami; potrafił zorganizować kwestę, wiedział jak przemówić do żony ministra, jak się zalecać do matki i córki jednocześnie. Wystarczy na niego spojrzeć, wygląda jak święty i jest świętym, w nowoczesnym stylu; skalany światłem, który jedynym tchem głosi miłość, braterstwo, kapiele, higienę, efektywność i tak dalej.

Ostatni wieczór jego pobytu w Paryżu poświęcono „sprawie pier...”. Cały dzień był bardzo wypelniony — konferencje, kablogramy, fotografie dla prasy, czule pozegnania, nauki dla wiernych i tym podobne. W porze obładowej postanawia odłożyć kłopoty na bok. Zamawia szampana do

Dźwięk, niewyraźne pomieszanie uczuć ogarnia mnie teraz, kiedy Nanantati swiergoli o swojej siostrze, która umiera przy porodzie. Oto ona na ścianie, kruche, pokorne stworzenie lat dwudziestu czy trzydziestu, przywarłe do ramienia starca. W dziesiątym roku życia została posłubiona przez tego starego rozpustnika, który zdążył już pochować pięć żon. Miała siedmioro dzieci, z których tylko jedno ją przeżyło. Oddano ją temu wiekowemu gorylowi, żeby zatrzymać perły w rodzinie. Kiedy dokonywała żywota, jak to określa Nanantati, szepnęła lekarzowi: — Sprzykrzyło mi się to pier... nie chcę już więcej pier..., panie doktorze. — Kiedy mi to powtarza, skrobie się z namysłem po głowie swoją krzywą ręką. — Pier... jest złe, Endri — mówi. — Ale ja ci powiem słowo, które zawsze przyniesie ci szczęście; musisz je powtarzać codziennie, powtarzać i powtarzać, musisz je wypowiedzieć milion razy. To najlepsze słowo na świecie, Endri... powiedz je teraz... OOMAHARUMOOMA!

— OOMARABOO...

— Nie, Endri... w ten sposób... OOMAHARUMOOMA!

— OOMAMABOOMBAA...

— Nie, Endri... tak...

...Ale z uwagi na mroczne światło, mamy druk, oderwaną okładkę, fruwające strony, gmerające palce, świeczkę fokstrotę pchły, niemrawe wszy, pypcie na języku, ropę w oku, grude w gardle, trunek w dżbanie, swedzenie dłoni, zawroty głowy w kioskach, żalostne westchnienia, zamglone wyczerpane umysły, skurcze sumienia, napady wściekłości, wytrysk pośladków, ogień w przelęku; laskotanie zadka, kielbie we łbie, harmider i kurz w uszach — potrzebował miesiąca, aby zrobić krok naprzód, było mu trudno nauczyć się na pamięć więcej niż słowo na tydzień.

Przypuszczam, że nigdy bym się nie wyrwał ze szponów Nanantatiego, gdyby mi nie pomógł przypadek. Szczęśliwie się złożyło, że pewnego wieczoru Kępi zapytał, czy bym nie zabrał jednego z jego klientów do burdelu w pobliżu. Młodzieniec przyjechał właśnie z Indii, miał niezbyt wiele pieniędzy przy duszy. Był człowiekiem Gandhiego, jednym z tej małej grupy, która zorganizowała historyczny marsz do morza podczas solnego buntu. Bardzo wesoły ten uczeń Gandhiego, muszę powiedzieć, pomimo słobów wstrętności, jakie złożył. Najwyraźniej od lat nie spojrzał na kobietę. Mogłem go tylko zaprowadzić na Rue Laferrière; zachowywał się jak pies z wywieszonym ozorem. Na dobitkę był z niego próżny, nadeży małymi diabełkami. Wystronił się w sztruksowy garnitur, beret, windsorski krawat, w ręku laseczkę; kupił sobie dwa wieczne pióra, aparat fotograficzny i wytworną bieliznę. Pieniądze, które na to wydał, były darem kupców z Bombaju; wysłali go do Anglii, aby szerzył ewangelie Gandhiego.

W przybytku panny Hamilton zaczął tracić swoją *sang-froid*. Znalazłszy się w gronie nagich kobiet popatrzył na mnie z niepokojem. — Wybierz którąś — powiedziałem. — Masz prawo wyboru. — Zaczął się tak trząść, że prawie nie mógł na nie patrzeć. — Zrób to za mnie, wyszeptał rumieniąc się po uszy. Obejrzałem je chłodno i wybrałem pulchną młodą dziewczę, która wydawała mi się już opierzona. Usiedliśmy w recepcji czekając na pokój. Burdelmama dopytywała się, dlaczego nie wybrałem dziewczyny dla siebie. — Tak, ty też sobie weź — powiedział młody Hindus. — Nie chcę być z nią sam. — Więc znów przyprowadzono dziewczynę i wybrałem sobie smukłą, dość wysoką, o melancholijnych oczach. Zostawiono nas samych, całą czwórkę w poczekalni. Po chwili mój młody Gandhi nachylił się i zaczął mi coś szeptać do ucha. — Oczywiście, jeśli wolisz tę moją, to weź ją sobie — powiedziałem, a potem dość niezgrabnie i z zakłopotaniem wyjaśniłem dziewczętom, że chcemy się zamienić. Od razu spostrzegłem, że popełniliśmy *fauz pas*, ale teraz mój młody przyjaciel ożywił się, poweselał i chciał jak najszybciej iść na górę, żeby to już mieć za sobą.

Wzięliśmy sąsiadujące pokoje, połączone drzwiami. Myślałem, że mój towarzysz będzie chciał ponownie się zamienić, jak już zaspokoili pierwszy najostrożniejszy głód. W każdym razie jak tylko dziewczyny opuściły pokój, żeby się przygotować, słyszę jego pukanie do drzwi. — Gdzie jest toaleta, jeśli laska? — pyta. Nie przypuszczając, że chodzi o coś poważniejszego, radzę mu zrobić do bidetu. Dziewczęta wracają z ręcznikami w rękach. Słyszę go, jak chichocze w sąsiednim pokoju.

Kiedy wkładam spodnie, nagle słyszę tumult w sąsiedztwie. Dziewczyna wrzeszczy na niego, nazywa go świnia, brudną małą świnia. Nie miałem pojęcia, czym mógł wywołać taki wybuch. Stoję z jedną nogą w nogawce, nasłuchując w napięciu. On usiłuje jej coś wytłumaczyć po angielsku, coraz to głośniejsze, aż przerywa mi krzyk.

Słyszę trzaśnięcie drzwiami i za chwilę do pokoju wpada burdelmama z twarzą czerwoną jak burak, dziko wymachując rękami. — Powinien się pan wstydić — wrzeszczy — żeby przyprowadzać takiego typu do mojego domu! To barbarzyńca... to świnia... to...! — Mój towarzysz stoi w drzwiach za jej plecami z wyrazem skrajnego zmieszania na twarzy. — Coś ty zrobił? — pytam.

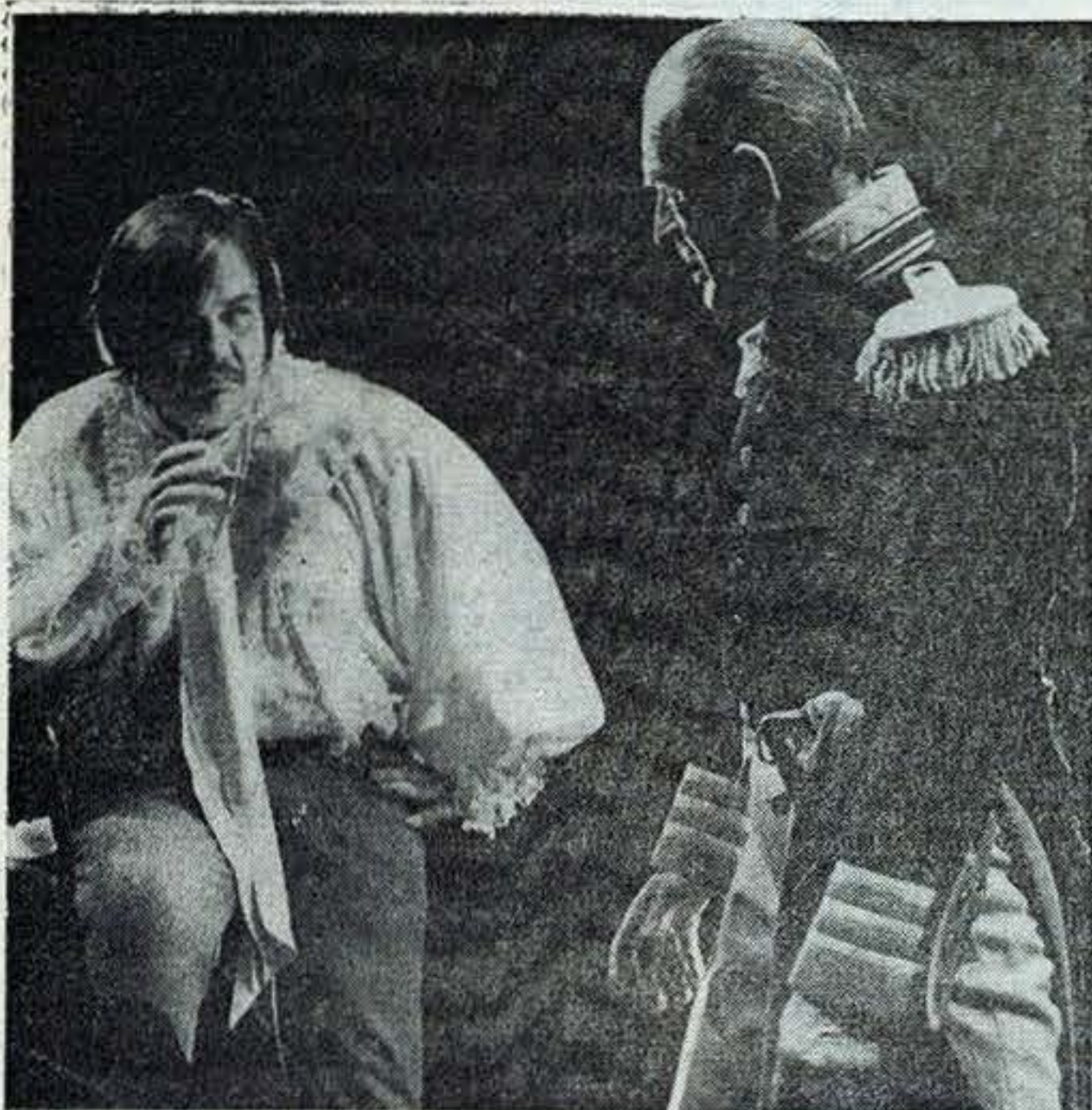
— Co zrobił? — krzyczy burdelmama. — Pokażę panu... Chodź pan! — I łapię ramię za ramię, ciągnąc do sąsiedniego pokoju. — Tu! Tu! — drze się wskazując na bidet.

— Chodź, wyjdźmy stąd — mówi hinduski chłopak. — Zaczeka, nie możemy tak po prostu wyjść, jakby nigdy nie.

Rajfura stoi nad bidetem sapiąc i pluąc. Dziewczęta obok z ręcznikami w rękach. Cała nasza piątka stoi wpatrzona w bidet. Pływają tam po wodzie dwa monstrualne kawały g... Burdelmama nachyliła się i zakrywa je ręcznikiem. — Straszne! Straszne! — zawodzi. — Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego. Świnia! Paskudna mała świnia!

Hinduski chłopiec patrzy na mnie z wyrzutem. — Trzeba mi było powiedzieć! — mówi. — Nie wiedziałem, że to nie śpienie. Pytałem, gdzie mam pójść i powiedziałeś, że bym tu zrobił. — Jest blisko leż.

Wrzeszcze burdelmama odwołuje mnie na bok. Zachowuje się teraz trochę rozsędnie. Ostatecznie to tylko pomyłka. — Może panowie mieliby ochotę zejść na dół i jeszcze zamówić trunki — dla dziewcząt. To był okropny szok dla dziewcząt. Nie są przyzwyczajone do takich rzeczy. I może szanowni panowie będą tak uprzejmi, żeby pamiętać o *femme de chambre*. To nie jest przyjemne dla *femme de chambre* — takie świństwo, takie paskudne świństwo. — Wzrusza ra-



Maciej Ferlak (Car), Leszek Polessa (Wielki Książę).

Fot.: CZESŁAW LUNIEWICZ



Kordian oskalpowany

W telewizji urządzono kiedyś dyskusję o kryzysie słowa. Znani dramaturzy wskazywali na upadłość teatru, politycy nożyczek, a czasem siekiery. Reżyser i scenarzysta, mają prawo posługiwać się tymi narzędziami i miejsce wyrębu wypełniać swoim tekstem, pomysłem, sytuacją. W rezultacie tych zabiegów autor niekiedy z trudem rozpoznaje swoje dzieło na scenie i to jest, jak wówczas powiedziano, jedna z głównych przyczyn, dla których współcześni pisarze odchodzą od teatru.

Juliusz Słowacki ze swym „Kordianem”, uosabiającym młodzieńcze ideały autora, od teatru nie odejść, nie obrazić się i nie zabierać głosu przed kamerami. Wszystko więc w rękach reżysera-scenarzysty. A co robi reżyser? Otóż kładzie on Kordiana na długim, czarnym stole i tnie, gdzie popadnie. Potem wszyscy, którzy znajdują się na planie, owijają się w czerwone sukno, a tymczasem z sufitu niby gigantyczny skała zwisają eschatologiczne kukły; potępione przez Boga czy szataną?

„Kordian” napisany 158 lat temu, po 88 latach od premiery, dalej wydaje się być arcydziełem wiecznym. Ładunek historyczny, patriotyczny i filozoficzny w nim zawarty, jest ponad czasem. Aby w starym dramacie uwypuklić te najważniejsze z żywych prawd, reżyser próbował wniknąć głęboko w materię dzieła. Odciać kwestie, jego zdaniem mniej ważne i rezygnując z nich, wypunktować te najbardziej istotne w dniu dzisiejszym. Tym samym miał zamiar dzieło nieco rozwinąć, uczynić bardziej zwartym. Takie, jak sądził, były intencje realizatorskie podczas pracy nad zielonogórskim „Kordianem”. Były, ale nie wyszły.

Cięcia nie są grzechem jedynym. Gorzej, że w przedstawieniu brakuje osobowości. Aktorskich, reżyserkich. Sam tytułowy Kordian, zubożały przez odcięcie wielu cennych dla tej postaci kwestii, nie wystarcza.

A przecież czymże jest teatr, jak nie sztuka zbiorczą. Wypadkową osobowości. Tych, które stworzył autor, tych, których zadaniem są sceniczne kreacje i wreszcie tych, którzy dają kształt przedstawieniu. Widz ogląda spektakl i przysmakuje wypadkową, jaka jest, nieswiadom procesu, który się dokonał, nim na sali zabrzmiał dzwonek przed premierą. A jest to czasem proces krwawy!

Drobne fajerwerki, wygrywane w paru miejscach przez aktorów, nie są w stanie uratować całości. Jak przez mgłę przebiega Kordian, chwilami interesujący, choć wizualnie nie taki jakim widział go autor i psychicznie też odbiegający od pierwowzoru.

„Przerabialiśmy już „Kordiana”, a mimo to do przerwy nie nie rozumiałem — powiedział tegoroczny maturzysta Technikum Budowlanego, obecny na premierze. — „Według mnie postać tytułową powinien grać ktoś bardzo młody”. Prawda! Ale jak słyszę, którzy z teatrów (czy to nie w Gdańsku?) wystawili właśnie „Dziady” Mickiewicza z Henrykiem Bistą w roli Konrada. Aktor pod pięćdziesiątkę nie udaje tam młodzieńca. Konrad Bista jest mężczyzną w sile wieku, a jego kwestia została w przedstawieniu odwrócona w czasie.

Kordian Świtły, to człowiek w wieku nieokreślonym, o różnie nieokreślonym do końca wnętrzu, zrezygnowany i pełen smutnego niepokoju. Są momenty, że zapalają się w bohaterze iskielki; wyraz buntu Kordiana, czy buntu aktora? Zapalają się i gasną.

Kłania się Król Ubu, udający Cara, i Car z innego przedstawienia, udający Wielkiego Księcia. Obaj mają dużo czasu na rozróżanie dzieł nieszczernej młodej Angliki. Powstaje z tego scenka przydługa, może, lecz napięta i dla oka i dla ucha, strawną. Nie ma za to szczęścia nobliwy Grzegorz, który w spektaklu wychodzi na kłamek. Ledwie kończy wygłaszać tragiczną informację: „Panicz się zastrzelił”, a panicz wkracza na scenę, jakby nigdy nie! Zostaje ślad po cięciu wykonanym na oślep.

Deinformacja trwająca od początku do końca, z niewielkimi przerwami, nie pomaga widzowi zorientować się, gdzie piekło, a gdzie szpital wariatów, gdzie Kordian żywy, a gdzie jego duch, gdzie spiskowcy, a gdzie obłąkani. Ktoś podciera niebo, ktoś głosi „Jam zbawca codzienny”, a widz żałuje, że nie wybrał się na przedstawienie z tekstem „Kordiana” w oryginale.

Jak większość pozycji z listy szkolnych lektur, „Kordian” zostaje nam obcy, choćby już w młodości. Toteż wiadomo z góry, że publiczność nie będzie walić drzwiami i oknami, a na to trudne przedstawienie przyjdzie tylko „widz podstawowy”, czyli uczeń ze swoją klasą. Myślę więc, że teatr o słabym raczej potencjale artystycznym, a taki właśnie jest teatr w Zielonej Górze, może stać się atrakcyjny tylko dzięki problematyczności przedstawień oraz ich jakości. Przyjmując, że teatr spełnia również funkcje muzealną i archiwalną, to w tym przypadku zostały one spełnione.

Kończy się spektakl, aktorzy kłaniają się. Wśród nich — jubilat, Józef Michałowicz, któremu stuknęła 70-ka, piękny wiek! Kwiaty, oklaski, kurtyna. Wychodzą rozczarowana, potem śladami w posępnej, niechętnie, bo nie ukrywam, że w tym przedstawieniu chwalić. Ale nie tym razem.

HALINA AŃSKA

Teatr im. L. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Juliusz Słowacki „Kordian”. Reżyseria: Krzysztof Rotnicki. Scenografia: Jadwiga Pozakowska. Muzyka (z wykorzystaniem fragmentów dzieł Ryszarda Wagnera) Jerzy Bechyn. Obsada: Michał Świtła — Kordian, Andrzej Zdzisław Grudziński (Grzegorz), Maciej Ferlak (Car), Leszek Polessa (Wielki Książę), Henryk Tomczyk (Szatan, Doktor, Strach), Krystyna Michel (Czarownica), Wiesław Motek (Dozorca, Wariat), Sławomir Krzywiński (Kuruta, Wariat), Jerzy Balbuz (Archanioł, Papież, Biskup, Zakonnik), Roman Garbowski (Prezes), Krystyna Szostak (Laura), Irena Wójcik (Wioletta), Józef Michałowicz (dozorca w szpitalu wariatów), tłum, spiskowcy. Marzec, 1988 r.

Zielonogórska galeria BWA zaskakuje różnorodnością propozycji. Oto po wystawach rysunków satyrycznych Andrzeja Mleczki, srebrnej biżuterii „Cepeli”, plakatów Franciszka Starowieyskiego i rzeźb Zbigniewa Frackiewicza, kolejna atrakcja — fotografie polskiego artysty z Nowego Jorku, Ryszarda Horowitza. Ekspozycja ma charakter obyczajowy, a jej wernisaż odbył się w warszawskiej Zachęcie w czerwcu ubr.; po Zielonej Górze zostanie jeszcze pokazana we Wrocławiu, Krakowie i Łodzi.



Sztuka reklamy

Pisząc o niej, nie sposób pominąć chociaż kilku informacji z bogatej biografii autora. Ryszard Horowitz urodził się w maju 1939 r. w Krakowie. Katalog wystawy podaje, że był najmłodszym, który przeżył, więźniem Oświęcimia. Zainteresował się fotografią, zwłaszcza amerykańską, w okresie, gdy po 1956 r. Kraków stał się żywym centrum awangardy. Jako student malarstwa tamtejszej ASP wyjechał w 1959 do USA, by doskonalić się w projektowaniu graficznym i fotografii; był także stypendystą Richarda Avedona i Alexeya Brodowitza. Współzakładał Stowarzyszenie Fotografików Reklamowych w USA (APA). Od 21 lat prowadzi w Nowym Jorku własne studio reklamowe.

„Jego urodzona wrażliwość i galicyjskie tradycje kulturowe — pisze w katalogu Zbigniew Łagocki — przeniesione na grunt amerykański i zderzone z tamtejszą technologią pozwoliły mu na realizację obrazów fotograficznych, w których widzenie przedmiotów nosiło wyraźne piętno jego osobowości”. O karierze i „sile przebiecia” tego artysty świadczy choćby długa lista zawodowych i artystycznych sukcesów. Jedne z ostatnich, to wybranie go „Fotografem roku 1983” w ogólnonarodowej ankiecie magazynu „Adweek” oraz doroczna nagroda „Andy” Nowojorskiego Związku Projektantów Reklamy, przy-

znawana najwybitniejszym twórcą reklam. Artysta zaś mówi: „Najwięcej zadowolenia sprawia mi to, że klienci zamawiający u mnie zdjęcia, dają mi wolną rękę, a więc możliwość zaspokojenia moich własnych ambicji artystycznych”. Taka swoboda działania dana jest nielicznym. Konkurencja wszak ogromna, a odpowiednio wyposażone studio, zaangażowanie zespołu ludzi różnych specjalności — to niezbędne warunki, dzięki którym fotograf jako artysta, aranżer i główny koordynator może tworzyć. Jakże odmiennie wyglądają nasze

rodzime reklamy i sposób ich wytwarzania — porównać trudno uniknąć — bo też praktycznie nie ma zapotrzebowania na ten rodzaj fotografii. A przecież reklama najpowszechniej kształtuje świadomość estetyczną ludzi. Czyżbyśmy, oszczędzając, tę funkcję pozosta wili wyłącznie oazom wielkiej sztuki — muzeom i galeriom?

Najcenniejszym w fotografiach reklamowych Ryszarda Horowitza jest właśnie to, że spełniając funkcję użytkową, stanowią one również niezależne od miejsca ekspozycji dzieła sztuki. Sam autor często podkreśla, że zrozumienie sztuki, zwłaszcza malarstwa, jest najważniejszym dziedzictwem jakie wyniósł z kraju. O swej twórczości mówi: „Jako fotograf działam na pograniczu reklamy i sztuki. Zdjęcie reklamowe nie może istnieć w próżni, musi odnosić się do tego co istnieje w mentalności i gustach, gdyż inaczej zostanie odrzucone jako niezrozumiałe. W moich realizacjach chcę, by była obecna anegdota, sytuacja i konflikty, które odbiorca może w zrozumieli dla siebie sposób rozszyfrować”. Toteż jedni zarzucają mu nadmiar artystyzmu, inni — zbyt komercyjność. Artysta zaś pozostaje wier w siebie i swojej wyobraźni, o czym można się było przekonać, oglądając 50 fotografii, przeważnie barwnych, lecz nie tylko dlatego w naszych warunkach atrakcyjniejszych.



Na drodze do Berlina był Kostrzyn

W najnowszych dziełach środkowego Nadodrza szczególnie ważne były pierwsze miesiące 1945 r., kiedy to rejon ten, po wielkich odczynach, powrócił do Macierzy. Nastąpiło to w rezultacie działań zwycięskich wojsk radzieckich i Frontu Białoruskiego, które nie tylko wyzwoliły wówczas Ziemię Lubuską, lecz także, poprzez uchwycenie przyczółków na lewym brzegu Odry, stworzyły dogodną sytuację dla przyszłego natarcia na Berlin i ostatecznego, zwycięskiego zakończenia II wojny światowej. Dodac tu należy, że rozmach przedsięwzięcia w styczniu 1945 r. operacji „Wisła-Odra” znacznie przewyższył to, co początkowo planowano dowództwo radzieckie, z drugiej zaś strony doprowadził do chaosu i załamania najważniejszego odcinka hitlerowskiego frontu wschodniego. Miało to bardzo istotne znaczenie dla tego, w jakim stanie m. in. obszar pomiędzy Wartą a Odrą powrócił do odrodzonego państwa polskiego.

Dlatego też z uznaniem należy powitać ukazanie się nakładem Wydawnictwa MON, w serii „Historyczne bitwy”, książki zasłużonego badacza dziejów środkowego Nadodrza — dra Andrzeja Toczewskiego. Autor, który problematykę walk o Kostrzyn podejmował już wcześniej na łamach „Nadodrza”, „Ziem Górskich” i w „Zeszytach Gorzowskich”, swoją pracą wychodzi naprzeciw istniejącemu zapotrzebowaniu społecznemu, wypełniając zarazem istniejącą lukę w naszej literaturze historycznej. Książka przedstawia walki o „Festung Küstrin” (które dowódcą był nawiąsem mówiąc znany oprawca hitlerowski SS-Gruppenführer Heinz Reinefarth) na szerokim tle sytuacji operacyjnej na środkowym Nadodrzu — od stycznia do marca 1945 r. Część pierwsza omawia ogólne warunki, w których doszło do szturmów Kostrzyna i sytuację na froncie wschodnim w ostatnim półroczu II wojny światowej, plany obu stron walczących i ich siły, a także nieznaną dotychczas polski akcent w postaci działań na tyłach wroga grupy rozpoznawczej LWP dowodzonej przez por. Szelachowskiego. Te partie materiału zamyka zwięzłe przedstawięcie końcowej fazy działań i Frontu Białoruskiego w operacji „Wisła-Odra”. Część druga stanowi rozszerzenie i pogłębienie obrazu walk wojsk radzieckich w końcu stycznia i na początku lutego (do 3.II.1945 r. włącznie) o przebieg walk na Odry i zdobycie przyczółków w rejonie Stubic oraz po obu stronach Kostrzyna. Zdobycie tych przyczółków i odparcie silnych przeciwnałów hitlerowskich umożliwiło wojskom radzieckim (ściśle zaś mówiąc 2 Armii Pancerniej Gwardii a później 5 Armii Uderzeniowej i słynnej „stalingradzkiej” 8 Armii Gwardii) realizację podstawowego zadania, którym było okrążenie i zdobycie Kostrzyna. Sam przebieg walk stanowi treść trzeciej, najobszerniejszej części pracy

Nie poprzestaje on na wiernym zilustrowaniu hasła czy przedmiotu, lecz kreuje go w nowych sytuacjach, środkami prostymi aż do naiwności. Korzysta z fotomontażu — techniki o szerokich możliwościach. Zauważmy: elementy kompozycji zostały sfotografowane uprzednio w odmiennych proporcjach, perspektywie oraz przede wszystkim w różnym oświetleniu, które tworzy swoisty klimat i przestrzeń. Irracjonalne na pozór zestawienia nadają zwykłym rzeczom i postaciom ludzi niespodziewane znaczenia, odniesienia i symbole. Jednak efekt zależy od inwencji i wyczucia umiaru artysty. A że Horowitz czyni to z uduławiającą finezją, nadaje elementom obrazu, w poetyce surrealistycznej zwykle wzbudzające niepokój, tu są liryczne i ciepłe. Mają wszakże zdobywać przychylność odbiorcy. Niekiedy są one żartobliwe, np. w reklamie biżuterii lub środka antykoncepcyjnego (ptasie jajo z przyciskiem „on-off”). Tylko niektóre z fotografii działają nadmiarem szczegółów. Na ogół przekazują one treść syntetycznie, chociaż skojarzeniami da lekko odbiegając od merytorycznego kontekstu. Często autor posługuje się wieloznaczną i uniwersalną w sztuce erotyką, dyskretną jednak i o charakterze symbolu. Unika natomiast akcentów chwytliwej mody (np. uczesanie modeli), dzięki czemu powstałe w okresie ostatnich 15 lat fotografie, dla nas są aktualne.

Artysta pokazał także plakaty autokreacyjne, np. „Ania w poszukiwaniu rajstop”. Plakat informujący o przeprowadce mego atelier” oraz równie plakietki „Zdjęcie rodzinne” — przekorne „Ania w kolorze” czy „Ania z Danielem. Zawiadomienie o narodzinach naszego syna” z postacią kobiety w ciąży. Ponadto — kilka fotografii eksperymentalnych, które wydały mi się jakby bardziej powierzchowne, być może z powodu braku kontekstualnego podpisu.

Wystawa Horowitza była premierową w Zielonej Górze, zaś druga w Polsce (poprzednia — 1980 r.). Sądzę, że przekonała ona licznych zwiedzających o sile oddziaływania fotografii. Może częściej niż dotąd gościć będą w galerii BWA prace czołowych fotografików mieszkających w Polsce, nie pomijając żadnego kierunku artystycznego. Czy podobnie kunsztowne i estetycznie opracowane?

ELŻBIETA LEŃSKA

PS. Na str. 1 reprodukcja pracy Ryszarda Horowitza — „Na wylocie” (Okładka rocznika „Photographia” 82, szwajcaria)

Andrzeja Toczewskiego, wnoszącej wie le nowego materiału do dotychczasowej wiedzy historycznej. Autor znanal zował tu m.in. walory Kostrzyna jako twierdzy, przedstawił skład jego załogi oraz organizację obrony, kreśląc obraz dramatycznych walk o każdą ulicę, dom czy załom murów. Mimo szerepych ram pracy zakreślonych przez wy mogli popularnej serii MON-owskiej, jest to obraz w miarę pełny, w pełni poprawny pod względem militarnym, uwzględniający wszystkie najważniejsze momenty omawianych wydarzeń. Do walorów książki należy również uzupełnienie narracji autora fragmentami relacji wyższych dowódców obu stron oraz niektórych dokumentów operacyjnych i także załączenie licznych ilustracji i trzech szkiców sytuacyjnych, znakomicie ułatwiających orientację w przebiegu walk.

Z obowiązku recenzenckiego wspomnieć muszę również o pewnych nieznacznych zresztą mankamentach. Należy do nich m.in. stwierdzenie autora, że „garnizon twierdzy kostrzyńskiej był złożony z (...) doborowych wojsk SS, Wehrmachtu i Volkssturmu”, bowiem w świetle tego co przedstawione zostało na następnej stronie — były to przede wszystkim dobrane i dość przypadkowo zebrane jednostki zapasowe, nie reprezentujące (poza obu pułkami artylerii) wysokiej wartości bojowej. Trudno się również zgodzić z tym, że Himmler za stał odwołany ze stanowiska dowódcy Grupy Armii „Wisła” z powodu niepowodzenia deblokady Kostrzyna, bowiem powody jego dymisji były znacznie głębsze i bardziej złożone. Decyzję tę wyłożył na Hitlerze gen. Guderian, ze względu na wykazywany przez Reichsführera SS całkowity brak zdolności dowódczych. Można by rozważyć również, czy dla książki nie byłoby celowe uwzględnienie w niej wartościowej pracy Jerzego Stankiewicza o dziejach twierdzy Kostrzyn od początków XX wieku (w „Studiach i materiałach do historii wojskowości” t. XII cz. I). Są to jednak sprawy niewielkiej wagi — nie umniejszające wartości ciekawej i pożytecznej książki, którą z całym przekonaniem polecić można czytelnikom.

RYSZARD MAJEWSKI

1. Andrzej Toczewski: Kostrzyn 1945, Wyd. MON, Warszawa 1988, ss. III.

PS. Walki o Kostrzyn w 1945 r. nie doczekały się dotąd wyczerpującej monografii. Pomniejsze wzmianki o nich występują jedynie fragmentarycznie we wspomnieniach dowódców radzieckich: W. Bielawskiego, F.E. Bokowa, G. Chetagurowa, W. Czujkowa, M. Kolesowa, W. Mironowa, S. Rudenki, M. D. Solmatina, W. Wichrenko, oraz w pracach niemieckich: T. Bussego (b. do wódce hitlerowskiej 9 Armii), H. Guderiana, czy P. Gosztornego. Polskie opracowania tego problemu, autorstwa B. Dolaty, nie mogą zadowalać.

Zaginiony patrol

Znowelizowana Ustawa o Kinematografii zaczęła już wydawać pierwsze owoce w postaci „nowego ładu” na rynku wideo. To znaczy, do ładu jeszcze da leko, obecnie jest coś w rodzaju małej rewolucji. Nie może być przecież tak, aby kraj w środku Europy nie respektował międzynarodowych praw — a w wypadku wideo niemal oficjalnie kwitło w Polsce piractwo. Owszem, osoby zarabiające na wideo (właściciele wypożyczalni filmów, organizatorzy pokazów) opłacały się fiskusowi i — o zgrozo! — ZAKS-owi, ale co? ZAKS ma wspólnego z produkcją „Rambo” czy „Termina-

tora”? Mimo, że Ustawa zmierza do uzdrowienia sytuacji, nie są to najweselejsze wieści dla wideofanów.

Jeszcze wiele wody w Wiśle upłynie zanim odpowiedzialne osoby doprowadzą do zabezpieczenia rynku wideo w odpowiedni zestaw legalnie rozprowadzanych filmów. Nadal pozostaje liczyć na

prywatny import i domowe pokazy: organizatorzy publicznych projekcji mają związane ręce. Wyraźnie jest to widoczne na przykładzie obecnego repertuaru klubu „Bieriozka”. Klub skazany jest na filmy będące w dyspozycji OPRF-u. Filmy te, to starocie sprzed kilkunastu lub kilkudziesięciu lat i choć kino w swojej historii stworzyło wiele znakomych obrazów artystycznych i rozrywkowych, to OPRF posiada głównie „średniaki”, jak niebyle udana „Dekadę strachu”, zwietrzałą komedię „Gamon”, albo filmy Johna Forda, które nadają się raczej na pokazy DKF-ów.



LISTY

„Przed rewizją nadzwyczajną”

Polska Rzeczpospolita Ludowa
Ministerstwo Sprawiedliwości
Obywatel
Redaktor Naczelny
„Nadodrza”
Zielona Góra

W numerze 10 z ub. roku (z dnia 30.03) ukazał się artykuł Lucyny Grabowskiej pt. „Przed rewizją nadzwyczajną?”, w którym opisane zostały perypetie Romana Bajona, któremu podczas pobytu w Holandii skasowano 20-letniego „Mercedesa”. Po nabyciu nowego samochodu R. Bajon zatrzymany został na granicy PRL i osądzony za próbę przemytu pojazdu.

Autorka kończy swoją publikację informacją o złożeniu przez skazanego podania do ministra sprawiedliwości o

wnieście rewizji nadzwyczajnej na jego korzyść od wyroku Sądu Wojewódzkiego w Gorzowie Wlkp. Porządkowo za padła decyzja o odmowie wniesienia rewizji nadzwyczajnej, jednakże ostatecznie uległa ona zmianie. Dnia 7 marca br. minister wnosząc rewizję nadzwyczajną do Sądu Najwyższego domaga się korekty orzeczenia sądu II instancji i rozstrzygnięcia takiego, jakie wydał Sąd Rejonowy w Ślubicach, czyli umorzenia postępowania z uwagi na znikomy stopień społecznego niebezpieczeństwa czynu.

Sędzia Andrzej Cudała
Rzecznik prasowy
Ministra Sprawiedliwości

Warszawa 1988 r. 03.09.

Od redakcji: O ostatecznym załatwieniu tej sprawy poinformujemy naszych czytelników.

„Zapewne mnie zrozumiesz”

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Chcę kilka słów napisać na margine-

czywiście w dyspozycji dystrybutoram monopolistów pozostaje gros polskich filmów, ale te już dawno wszyscy zainteresowani oglądali w kinach lub telewizji.

Chwalilem już na tych łamach działalność klubu „Bieriozka”, dla równowagi zgłaszam uwagę krytyczną. Bilety na projekcje wideo są stosunkowo drogie (150 zł), szczególnie na kieszeri nastolatka, a właśnie młodzi widzowie są w większości bywalcami „Bieriozki”. Ta wierność zasługuje chyba na poważne traktowanie, tym bardziej jeśli to prawie nie nie kosztuje. Otóż jest taki zwyczaj, że na planszach reklamowych zamieszcza się kilka zdań na temat anonowanego filmu, a takiej informacji brakuje na planszach „Bieriozki”. Na projekcji filmu „Zaginiony patrol” byłem świadkiem zbiorowego exodusu młodych widzów, którzy spodziewali się filmu zupełnie innego typu. Amerykańska etykieta i tytuł filmu przyciągnęli widzów złańskich kina latwego, lekkiego i przyjemnego. Nie zdziwiłem się rozczarowaniu widzów, film nie jest ani lekki, ani przyjemny.

„Zaginiony patrol” zrealizowany został przez Johna Forda w 1934 roku i jest on raczej niestrawny dla współczesnego widza. Rzecz dzieje się w Birnie, w okresie I wojny światowej. Brytyjski patrol zabłądził na pustyni, a do tego go przesładowany jest przez niewidzialnego wroga, który systematycznie i skutecznie likwiduje wszystkich żołnierzy. Życie daje się ocalić jedynie dowódcy patrolu, który pod koniec filmu dostaje pomieszczenia zniszczonego z krótkiego streszczenia może wynikać, że był to film o najmniej ciekawym. Owszem, było w nim kilka wrecz genialnych scen i jedna znakomita postać — mam na myśli mistyka Sandersa w wykonaniu słynnego Borisa Karloffa — ale całość przedstawia się dzisiejszemu widzowi w postaci mdłej waty na patyku. Do tego film posiada natrętą ilustrację muzyczną — razem z kina niemego. Każdy gest musi mieć kilka taktów komentarza w wykonaniu wielkiej orkiestry symfonicznej. Film otrzymał „Oskara” za muzykę Maxa Steiner! No cóż, to było ponad 50 lat temu.

FAN

się wydanego tomiku poetyckiego Jana Dębka „Zapewne mnie zrozumiesz”. Moja żona jak przeczytała te wiersze jeszcze w maszynopisie, to się popłakała. Jaki on był nieszczerliwy, samotny, jak wiele z siebie dawał. Jak każdy wielki artysta. Cieszy mnie bardzo, że w „Nadodrzu” tę książeczkę zauważono. Nikt nie zdaje sobie nawet sprawy, że trzeba było wrecz walczyć o jej ukazanie się. Recenzentka napisała wnikliwy tekst, ale nie chciała nawet napomknąć, kto robił tę książeczkę, kto zbierał materiały, jaki był wynik tej pracy. Nie szkodzi. Wiem tylko jedno, że ślad po człowieku mógł nie być ocalony. Z powodu czyjejś złośliwości, nieprzychylności i braku zrozumienia. A jest ocalony. Mogłbym tu wiele napisać, jak z tygodnia na tydzień, gdy już było wszystko zredagowane, gdy już makietę zrobiłem w domu, nie było ciągle wiadome, czy się ten druk ukaże. Aż wreszcie pewnego dnia powiedziałem, że pracę wykonam poza swoimi obowiązkami względem Biblioteki. Dopiero wtedy sprawa ruszyła do przodu. U pani Ireny Bierwaczek zamówiłem rysunki. Zrobiła je nie żądając grosza honorarium. Czesław Luniewicz dał zdjęcie poety. Pan Andrzej Waśkiewicz nadał swój opinię z Gdańska. Praca przy niej nie różniła się od pracy przy innych książeczkach. Ale tę potraktowałem szczególnie osobiście, bo ludziom, którzy odeszli winni jesteśmy pamięć. Oni już nie nie mogą, a my możemy. Niestety nie każdy to rozumie. Nawet człowiek na stanowisku. Nie żałuję tego wysiłku, także wielu momentów napięcia i stresów, których mogło nie być.

EUZEBIUSZ FOKSZAN



Rys.: LESZEK HERMAŃOWICZ

Ile kosztuje kultura

Wydatki na działalność instytucji kultury rosną. Wiąże to się ze wzrostem płac artystów i obsługi, zwiększaniem się opłat za opał, energię elektryczną, transport itp. Rosną również ceny biletów, chociaż nie w takim tempie, jak by to wynikało ze wzrostu innych cen.

Filharmonia Zielonogórska w 1987 r. przygotowała 1375 koncertów dla 25 tysięcy słuchaczy. Aż 1252 koncerty odbyły się poza Zieloną Górą, a wysłuchało ich blisko 219 tysięcy osób. Na swoją działalność FZ wydała 83 miliony złotych, z czego tylko 9 milionów pochodziło ze sprzedaży biletów wstępu. Pozostałą kwotę FZ otrzymała z Funduszu Rozwoju Kultury. Ekonomisci obliczyli, że zorganizowanie jednego koncertu kosztuje FZ prawie 53 tysiące złotych. Dochód ze sprzedaży biletów wstępu na jeden koncert wynosi 6 tysięcy złotych. Do każdego słuchacza obecnego na koncercie FZ dopłaca aż 286 złotych, a użyłszy od niego średnio 36 złotych. Filharmonia organizuje również koncerty dochodowe, zamawiane głównie przez zakłady pracy i organizacje społeczne.

Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego, posiadający dwie sceny — dramatyczną i lalkową — w ubiegłym roku przygotował 10 premier. Statystycznie aktorzy występowali po dwa razy dziennie. W Zielonej Górze scena dramatyczna zorganizowała 174 spektakle, a lalkowa — 130. Przedstawienia odbywały się w salach domów kultury, szkół, ośrodków wypoczynkowych na terenie województwa zielonogórskiego i ościennych. Obejrzało je 132 tysiące widzów. 58 tysięcy dzieci i młodzieży oglądało spektakle sceny lalkowej. Tylko co trzeci zielonogórzanin chodzi do Lubuskiego Teatru (41 tysięcy osób). Do każdego biletu wstępu teatr dopłaca 988 złotych. Od widza sceny dramatycznej LT uzyskuje 79 złotych, zaś od dziecka obecnego na spektaklu lalkowym — 61 zł. Do jednego przedstawienia LT dopłaca średnio 185 tysięcy złotych. W 1987 r. ze sprzedaży biletów wstępu Lubuski Teatr uzyskał 9,4 mln zł (scena dramatyczna — 5,9 mln zł, scena lalkowa — 3,5 mln zł). Koszty działalności obu scen wyniosły 141 milionów złotych. Różnicę pokrył Fundusz Rozwoju Kultury. Lubuski Teatr od pół roku działa w warunkach niekorzystnych — przebudowywana jest duża sala, spektakle dramatyczne odbywają się w sali kameralnej.

Jedynym zielonogórskim przedsiębiorstwem artystycznym, które nie otrzymuje dotacji z FRK, jest Estrada Ziemi Lubuskiej. Pozostałe instytucje i jednostki kultury są dotowane.

Likwidacja LKF?

Od dłuższego czasu w gronie działaczy Lubuskiego Towarzystwa Kultury trwała dyskusja: — co zrobić z Lubuskim Klubem Filmowym? W połowie marca Prezydium LTK podjęło decyzję o zamknięciu finansowania LKF. Prezydium orzekło, że sprzęt, którym dysponuje klub, jest wyeksploatowany, przestarzały, a na nowy Towarzystwo nie ma pieniędzy. Przypominamy, że Lubuski Klub Filmowy powstał w 1957 r. 31 grudnia 1957 r. członkowie LKF zaprezentowali publiczności zielonogórskiej swój pierwszy film pt. „I znów minął rok”. W ciągu 31 lat działalności LKF zrealizował 57 filmów, w większości na taśmie 35 mm, rozpowszechnianych głównie w kinach Ziemi Lubuskiej, ale także w telewizji. 10 tysięcy metrów taśmy dokumentującej ważne wydarzenia środkowego Nadodrza LKF przekazał do archiwum w Starym Kiszynie. Filmy: „Wierna ziemia”, „Była i jest nasza”, „Wędrowniki lubuskie”, „W leśnych ostępach” i „Nowe procesy technologiczne obróbki metali” otrzymały nagrody i wyróżnienia krajowe. Ostatnim filmem zrealizowanym przez LKF był „Spadł z pieca gołębek”, rzecz o biesiadach kołbarskich w Nadni. Wszystkie filmy klubu znajdują się w archiwum WIMBP i tam można je wypożyczyć.

Piosenka radziecka

W obu lubuskich województwach odbyły się eliminacje Konkursu Piosenki Radzieckiej. Gorzowskie w finale centralnym, który odbędzie się w Inowrocławiu, mają reprezentować: zespół „Orion” z ZDK „Chemic” w Gorzowie, duet Joanna Lewandowska i Aneta Woźny z I LO w Gorzowie i zespół wokalo-instrumentalny Ślubickiego Międzyorganizacyjnego Ośrodka Kultury. Z Zielonogórskiego na koncert finałowy

nadodrze

DWUTYGDNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, 1 p. oraz adres dla korespondencji: 65-933 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon, redaktor naczelny i sekretariat: 208-35 sekretarz redakcji: 39-13 oraz centrala: 46-61 do i zacyz telefonu wewnętrznej: Telex 812254. Redaguje: zespół: Halina Anska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. tech.), Janusz Koniusz (red. naczelny), Zdzisław Łukaszewicz (z-ca red. naczelny) Wiesław



do Radomia pojadą: zespół „Riposta” z Sulechowa, Halina Nodzak z Gubińskiego, go Domu Kultury i Jolanta Bubnowska z Zielonej Góry.

Laureaci

Adam Stawczyk, dyrektor Zagańskiego Pałacu Kultury, otrzymał Nagrodę im. Jędrzeja Cierniaka, przyznawaną corocznie przez Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej. Dyplomy Zarządu Ochrony i Konserwacji Zespołów Parkowo-Ogrodowych w Warszawie oraz srebrne medale „Za zasługi w ochronie i pielęgnacji zabytkowych zaleń ogrodowych” otrzymali: Specjalistyczny Zespół Opieki Zdrowotnej w Gorzowie oraz Rolnicza Spółdzielnia Produkcji „Polana” w Sarbiewie, gmina Zwierzyn.

Rok sportowy

W 1988 r. województwo zielonogórskie będzie organizatorem aż 33 ogólnopolskich i międzynarodowych imprez sportowych. Większość z nich odbędzie się w Drzonkowie. Okręgowy Związek Kolarski wspólnie z działaczkami LKS „Bizon” zorganizuje 3 imprezy w Bieganowie. Również 3 imprezy przygotują brydżysty w Ślawie. Zielona Góra będzie gospodarzem m.in. młodzieżowych mistrzostw Polski w strzelectwie sportowym, międzynarodowego międzynarodowego lekkoatletycznego juniorów, indywidualnych młodzieżowych mistrzostw Polski na żużlu, młodzieżowych mistrzostw Polski w lekkiej atletyce.

Z żałobnej karty

13 marca br. zmarł w wieku 76 lat Jan Kolenčuk, w latach 1951–69 zastępca przewodniczącego Prezydium WRN, współorganizator zielonogórskich instytucji kultury i sztuki, szkolnictwa, sportu. J. Kolenčuk był odznaczony wieloma krzyżami, a także orderem Sztandaru Pracy II Klasy i odznaką honorową „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”.

Zaprosili nas

Zarząd Wojewódzki TPWR w Zielonej Górze na eliminacje wojewódzkie XXVII Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej; Lubuskie Towarzystwo Naukowe na wykład prof. dr. hab. Henryka Olszewskiego z Poznania; Zagański Pałac Kultury na wystawę grafiki Mariana Klinewicza; Estrada Ziemi Lubuskiej na koncert zespołu „Śląsk”; Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze na otwarcie wystawy ilustracji Marii Mackiewicz-Adamus; Galeria Sztuki PSP w Zielonej Górze na otwarcie wystawy malarstwa Lidii Domagali; Świebodziński Dom Kultury na otwarcie klubu „J. Janka”; Międzyorganizacyjny Ośrodek Kultury w Miostowicach Dolnych na wernisaż wystawy pokonkursowej „Półkoj potrzebny jest dzieciom”.

Nadodrski sekretarz red., Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow Sekretariat redakcji: Elżbieta Walenska Wydawca: RSW „Prasa Książka-Ruch” Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 35, 65-002 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 47 Dyrektor Zbigniew Plekiewicz tel. 117-85 Druk Drukarnia Prasowa ZWP 65-016 Zielona Góra ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka-Ruch” na terenie kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów.

Zam. 229 Z-20

Zaćmienie księżyca

1. Księżycu nikt nie ukradł, świeci, rzecz jasna, nie w Polsce, a na Zachodzie, w Ameryce.
2. Uciekać dlatego stąd należy, jak najszybciej trzeba ujrzeć jaskrawość księżycu. Czasu nie ma, bo zaraz księżyc zmieniony będzie na pył. A uczynią to Polacy. Promieniowanie księżycu wywołuje określone reakcje.
3. Księżyc i słońce tam są, tylko Polaków za dużo. Trzeba nagle stać się lepszym od pozostałych: im wyżej — tym lepsze oświetlenie. W żadnym przypadku rodaków nie podawaj ręki. Przyświe się do ciebie jak rzep psiego ogonu. Poszczekiwaj będzie. Że był załoczycelem. Że był internowany. Bity również był. Stał na mrozie i polewano go zimną wodą. Żadnego kompromisu. Zwymiotuj wszystko, co polskie. Odciać się od tego zjadale, ostentacyjnie i nienawistnie. Skorzystaj z tej WOLNOŚCI. Im bliżej blasku księżycu — tym ten blask ma kolor bardziej zielony.
4. W piśmie nowej emigracji, „Tygodniku Nowojorskim”, natknąłem się na list W. Przybyłko („Sacramento, CA), który gani Amerykanów, że są aż takimi głupcami, przyjmując do wolnego świata wszystkich Polaków tak jak leci. Przybyłko, który, ma się rozumieć, gromkim głosem obwieszczył, że jest PRAWDZIWYM POLAKIEM, ostrzega Amerykę przed byłym funkcjonariuszem SB zbiegiem na Zachód, co może sugerować, iż ów osobnik otrzymał nowe zadania do wykonania. Według enuncjacji P. „Solidarność” w Polsce zlikwidowali „zdradczy i agenci” i jako dowód podaje kilka nazwisk mieszkańców Zielonej Góry, którzy mieli być tą piątą kolumną. Nie byłoby to wszystko warte uwagi, gdyby nie to, że owi wymienieni z nazwiska mieszkańcy, byli działacze „S.”, aktualnie pracownicy kilku większych zakładów w Zielonej Górze, osobście nie zetknęli się z działalnością P. w „S.” i mogą chętnie o tym publicznie powiedzieć. I o tym P. wie, stad też zastosował praktykowana przez nową emigrację zasadę pierwszeństwa: jeżeli ktokolwiek wie cokolwiek o twojej niespełnionej ambicji działalności w „S.”, chcąc owe podejrzenia od siebie oddalić — bo i Ameryka jest też

tak mała, że co krok, to znajoma gęba — ty jako pierwszy rzucił publicznie potwarz, a będąc pierwszym, jesteś autorem także poza wszelkimi podejrzeniami. Ponadto P. atakuje starą emigrację, która również ulega nawiści. „Kto w końcu ma tłumaczyć ludziom wolnego świata, czym jest komunizm?” — krzyczy P. — „Na kogo mają liczyć ci, którzy pozostali w kraju, ponoszą coraz cięższe konsekwencje oporu a jednak nie nie zalamują? Jak wytłumaczyć fakt, że takie bydył jak... (tu pada nazwisko zbiegłego funkcjonariusza) chodzi po wolnym świecie i to nawet nie oploty? Czyż tu nie ma Polaków?”

5. Inny obrazek: również list młodego emigranta, który uczestniczył w jednej z polonijnych imprez i dzieli się swymi spostrzeżeniami w „TN”. Imprezę zapoczątkowała msza święta zakończona wspólnym odpisaniem „Boże coś Polskę” (w wersji no wej emigracji: „Ojczyźnie wolna raz nam wrócić, Panie!”). Potem poczęstunek. „Kuchnia już nie polska — ubolewa autor — ale za to wódzeczka wjechała prosto z kraju — toteż zaraz nastrój się poprawił z głośną skargą górala, któremu żal. Po poczęstunku — otwarcie wystawy. I wtedy autor doznał zask. Bo oto na otwarcie wystawy został zaproszony również konsul PRL. „Nad cędił to uklonach i wygibasach — donosi. — Kudłaty, z zadartym nosem i niezdrową cerą. W granatowym krajowym garniturze. Uśmiech — sama dobroć. Pisk wśród pań. Słimi się emigracja — stara i nowa. KombatanCI i panienki tlenione... Ci sami, którzy przed godziną śpiewali o wolnej ojczyźnie — teraz są znnowu niewolnikami! I to czyni! Konsula!.. A mieli być emigracja polityczną. Mieli wrócić do wolnej Polski. Dlaczego ludzie ci NIE POTRAFIAJĄ BYĆ WOLNI?” Dlatego też, autor sugeruje, aby na widok przedstawicieli władzy ludowej strzelać bez wahania, spłukać lub odwracać się twarzą do ściany.

6. Straciłem zupełnie orientację. Może jestem za młody, aby obciążać umysł takimi sprawami? Mam jednak stwardniałą skórę i jest trudno ją boleśnie skaleczyć. Po 13 grudnia nie mogłem przez pół roku otrzymać w Zie

lonej Górze jakiegokolwiek pracy, mimo stosownych skierowań z tzw. pośrednika. A gdy już — po znajomości — zacząłem pracować, trzeba było mi stałym odesłać: moim dyrektorem został ten, którego kiedyś próbowałem rozliczać. Z kolejnej pracy również mnie wyrzucano, ale to już oddzielni temat. Mogłbym wyjechać i to bardzo szybko i legalnie. Zamiast do „Nadodrza” pisałbym do „TN”, a w Institut Littéraire wydalbym powieść, której nie chce drukować Warszawa.

7. Za kilkanaście lat będziemy żyć w XXI wieku. Czy w Zielonej Górze będą już tramwaje? Czy ja, mieszkając na wsi, będę miał telefon? Czy w kiosku „Ruchu” u każdej porze kupię papier toaletowy? A sklepy w wolną sobotę będą czynne? Pytania można mnożyć, ale zacznie pęcznieć czaszka. I otóż można powiedzieć tak: jeżeli nie zlikwiduje się polskich absurdów w życiu społeczno-gospodarczym — każdy z nas może poprosić to odpowiednim przykładem, w którym zdrowy rozsądek przegrza w ustawowymi paragrafami, przepisami, zakazami, etc. — to nadal myślą przewodnią wielu Polaków będzie chęć opuszczenia Ojczyzny.

8. Świat współczesny trzęsie się od przeróżnych buntów i kontestacji. Jestem konserwatystą i składam mnożę do kontrreakcji sposób bycia moich rodaków poza granicami Polski. Podane przykłady nie są jeszcze zbyt groźne, choć szkoda, że idiotyzmy i zaciętwienia nie da się wyleczyć. Cóż, dolar ma różne oblicza, rozumię to na wet cinkciarze. Budzi we mnie jednak odrazę opinia, która wystawiana jest nam, żyjącym w kraju, przez hordy rodaków — uczestników przeróżnych zagranicznych wycieczek. Znajomy, który powrócił z Zachodu, wyznał, że bał się przyznać, iż jest Polakiem. W oczach wielu obokrajowców Polak kojarzy się z degeneratem, gotowym do każdego uczynku, aby tylko zapłacono mu choćby jednego centa. A nam wydaje się ciągle, że jesteśmy Mesjaszem Narodów.

ZBIGNIEW M. JELINEK

nadodrze

Rozrywki umysłowe

GLINA ODMIOTRAPALA	SARNA SKALA OBRAZ	ZESTAW ZABEZPIECZEN CYFRO- WYCH	POLSKI LEKKO- ATLETA, PARTNER HARMER- KA	GRZAK NAVY OBRUS	OPERA MONU- SZKI
WSTYD			PERSONA		
BZIK					PART- NER KRY
BOSTWO TEB			KRZEW		
			HINDUSKA BIBLIA		
PORT RAD TYGOMIEN	NIEMOL- NICA W KAREMBE	DRAPIE- NIK Z AFRYKI			MUOCE ZONA GRA SPO- STO WA
			OSCHODZI IMIENINY 9.VIII	NOWE SRE- BKO	
AUTORKA POWIEŚCI CHYBA WADZIŁA		NR. DOBIE			ARBUS
PRACZ	DANNY SZYMK	WNIEMA			
			PTAK PIORSKI SLASKI BRYDZ		
SOTUSZ				SKUP	
JESIEC RAZ					
URZADZE- NIE		PO SEPTY- PHE			
				CZLONK I PROLE- TARIA- TU	
WAZ Z KSIĘGI DOZWOL		POPORA ARCHONT TONACIA			

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA
Oprac. „ZEM”

Rozwiązanie krzyżówki prosimy nad-
syłać na adres naszej redakcji w termi-
nie 14 dni od daty ukazania się nume-
ru; na kopercie prosimy nakleić zamie-
szczony obok kupon. Do wylosowania
będą dwie nagrody książkowe po ok.
1000 zł.

ges, mikron, mięsak, Zenona, angora, re-
tier, Tajwan, akonto, esówka, luwers,
łopian, wiosło, odbiór, kąpiel, wioska,
kobalt, wiadro, siewka, trąbka, Hkier.

Nagrodę książkową wartości 1000 zł wylosowała p. Hanna Strzelczak, zam. ul. Wolsztyńska 65, 62-068 Rostarzewo, woj. poznańskie. Gratulujemy.

„LABRYS” zaprasza

Zielonogórski Klub Szaradzystów „LABRYS”, działający od 5 lat jako sekcja Lubuskiego Towarzystwa Kultury, zaprasza wszystkich chętnych zajmujących się układaniem krzyżówek i innych zadań szaradziarskich na spotkanie, które odbędzie się 11 kwietnia br. o godz. 17.00 w siedzibie LTK (ul. Gwardii Ludowej 14 w Zielonej Górze).

Sportowe życie

dza większego zainteresowania. W kraju, w którym wszystko systematycznie drożeje, w którym wszyscy walczą o osłony i rekompensaty, rodzice wolą wysłać pociechy na byle jakie kolonie za 30 tys., niż na atrakcyjny sportowy obóz za darmo. Niemal każdy marzy o dolarach Bońka, ale coraz mniej chętnych na następców Bońka. Do koszyka paradokśm dodam fakt, że nauczyciele WF-u są jak najbardziej dalecy od współpracy z klubami sportowymi — imi muszą zapewnić sobie chętnych do SKS-u, z tego są rozliczani, za to im płać. W ten sposób wszystkie idee biorą w leb, a raczej na tym tle stają. Za to atakujemy czołówkę światową w liczbie zawałów serca, a polską specjalnością zaczyna być 20-letni zawałowiec. Sportowa baza kurczy się błyskawicznie. Ludzie pracy będący poza strukturami organizacyjnymi sportu nie mają dostępu do sal gimnastycznych, do pływalni, stołu pin-pongowego, nie mają szans pogrania w najwykleszy snooker.

Rzecz może nie w medalach, te powin-
ny najbardziej podniecać speców od
propagandy i handlu zagranicznego, w
końcu to wspaniała reklama kraju.
Sprawa jest o wiele poważniejsza, i nie
chodzi tylko o pozłacany krążek.

PIOTR PIOTROWSKI

2 notesu

Dzisiaj, wiosną 1988 roku, studenci nie mówią o ideałach, naprawianiu świata i różowej przyszłości. Tematem ich rozmów jest twarde, drogie życie, gietka złotówka i brak mieszkanca. Nawet miłość jakby zrobiła się wyrachowana. Śmierć frajerom. Na czwartym i piątym roku kalkuluje się wszystkie „za” i „przeciw”. Szczególnie, gdy mowa o wyjeździe...

W ostatnich latach wyjechało z naszego kraju ponad ćwierć miliona rodaków. Nikt chyba nie prowadzi statystyki na tyle dokładnej, by określić procent opuszczającej kraj młodzieży akademickiej, bądź świeżo upieczonych magistrów, inżynierów. Ale na pewno nie jest to mała liczba; zbyt duża — gdy pomyśleć o kosztach kształcenia i potrzebach rodzinnych. Na lekarza, którego nauka w Polsce kosztuje około trzech milionów złotych, czeka się w Kanadzie i Australii z otwartym ramieniem. Jeśli młody człowiek nie zanie dba, by zdać egzamin z języka i nostryfikować polski dyplom oraz odbyć kilkuletnią praktykę — od sanitarium zacząwszy — ma szansę w wieku np. 40 lat — być nieźle urzędnowanym.

obywatelom dostatnego kraju. Gorzej jest w przypadku absolwenta mniej po pularnego kierunku. Ale geograf zawsze może pracować w fabryce, pomagać majstrowi na budowie, polonista świetnie poradzi sobie z bawieniem dzieci, prowadzeniem domu, sprzątaniem.

Jeśli młody człowiek liczy — jego kalkulacja jest prosta — po pół roku pracy w Niemczech jest „ustawiony” w kraju już na samym starcie. Dlatego emigracja, głównie zarobkowa, jest popularna wśród studentów. Dobrze mówi się o Kanadzie, Niemczech Zachodnich i Stanach Zjednoczonych. W Kanadzie może dałoby się zostać na stałe i żyć skromnie, ale bez upiających problemów?

Co oznacza powrót do kraju. Najczęściej działanie na własną rękę i „przy watkę”. Skończyła się naiwność rocznika 1980. Praca państwowa jest dopustem bożym, koniecznością, egzystowaniem. I coś z tego, że w kieszeni dyplom z plątką, kiedy w okienku pierw szego dnia miesiąca pobory dostaje się mniejsze niż niejednemu z pracowników bez żadnego wykształcenia.

Czy można złościć się, że odważniejsi i bardziej desperatowi chcą wyjechać, zarobić, urządzić się? Ze jeszcze nie gódzą się na zastaną sytuację. Oczywiście, nie. Każdy ma prawo do swego życia i własnej bajki. Znany psycholog, dr Melibroda, w niedawnym wywiadzie radiowym powiedział, iż on nie widzi żadnego kryzysu. Po prostu obecny stan gospodarki obserwuje od ponad dwadzieści lat, to znaczy od czasu, gdy świadomie mógł ocenić to, co go otacza. Sytuację, kiedy wielu dąży i o wyjeździe marzy tak wielki młodych ludzi, uważa za zupełnie normalną. Przystosowanie do realiów bowiem nie zatraciło potrzeby zmiany — na lepsze — własnego bytu. „To działa instynkt samozachowawczy, rozbudzony znajomością świata, dóbr konsumpcyjnych i... tym, co ma ślad!”

Przypomina się w tym momencie obraz na premierze w warszawskim Teatrze Współczesnym. Na przedstawieniu znakomite i ważne zarazem — przyszło mnóstwo młodzieży. Jeszcze więcej odeszło z kwitkiem sprzed kasy. Dawano właśnie spektakli składający się z dwóch części — „Dylizansu” Aleksandra Fredry (na motywach wczesnych utworów: „Dylizansu”, „Nowego Don Kiszota” czyli „Stu Szaleństw”, „No clegu w Apeninach” i „Z Przemysła do Przeszowy”) oraz „Zabawy” Sławomira Mrożka. Całość reżyserował Maciej Englert.

W czym siła tego przedstawienia? Zaskakującego, łączącego dwie odrębne poetyki, sposoby myślenia, mówienia, moralizowania? Fredro to przede wszystkim teatr gestu i sytuacji, zaś Mrówek – teatr pytań retorycznych... Ale te dwie, jakże różne sztuki łączą moment ledwie uchwytny, tkwiący w aluzjach, podtekstach, wreszcie kilkakrotnie artykułowany wprost: problem emigracji Polaków w ciągu ostatnich paru lat, ich ucieczek – wycieczek, wyjazdów i niepowrotów. Wrażenia, inteligentna niepewność w lot chwytała wszelkie niuanse i nagradzała jebrami. Fredro za nas zalał rękę i z łalem, a może nawiśnie, latwownie stwierdził:

„*Leż w ojczyźnie, wśród rodziny.
Gdzie się kochać cel jedyny —
Ach, gdzieć lepiej być nam może?*”
Bohaterowie „Dziłansu”, spoceni,
umordowani kłótniami, ułokowali się
w pojeździe i wyruszyli w drogę, każdy
we własnych interesach. Mieli być
szczęśliwi, ale czy byli?

**MAŁGORZATA KOWALSKA-
MASŁOWSKA**



Rys.: LESZEK HERMANOWICZ



Olimpiada w Calgary przeszła do historii. Teraz czekamy na Seul. Po Seulu ma nastąpić reorganizacja w polskim sporcie.

W Calgary nie mieliśmy żadnych złudzeń, z Seulem wiążemy medalowe sukcesy. Moim zdaniem olimpiada ta zakończy się dla Polaków wielkim łaniem, bo dlaczego w sporcie ma być lepiej, niż w innych dziedzinach? Co by nie mówić o sławnej minionej Dekadzie, to jednak sukcesy w sporcie odnoślimy największe. Najwięcej medali zdobyliśmy w Monachium i Montrealu, mieliśmy wspaniałe drużyny piłkarskie i piłki siatkowej, „zdarzył się” nawet złoty medal na olimpiadzie w Sapporo. To nie była propaganda sukcesu, to były autentyczne sukcesy, które skutecznie wspierały propagandę sukcesu.

Czy naszych herosów zaglaskano? — Chyba nie w tym rzecz. Stało się coś zadiwiałającego, im więcej dyskutowano o zawodowstwie w sporcie, tym mniej zawodowstwa było w poczynaniach działaczy i sportowców. Sport stał się autentyczną szansą na dostatek i ciekawe życie, a jednak chętnych do jego uprawiania ciągle ubywało... Kurczy się podstawa piramidy w sporcie wycy nowym. Młodzież niechętnie uczestniczy w zajęciach poszczególnych sekcji, trenerzy chodzą do domów co bardziej utalentowanych smarkaczy i proszą ich o uczestnictwo w treningach i zawodach. Darmowy wyjazd na zawody, na obóz w góry czy nad morze nie wzbudza